świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 101/2 (1885/6) 19–23 grudnia 1969 r. Cena 1 zł

Następny, podwójny, numer „Świata Młodych" (103-104) ukaże się z datą 26-30.XII.

Życzymy Ci przyjemnej lektury feryjnej.

REDAKCJA

INDIANIE znad DUNAJU

ZJAWISKO „INDIANIZMU" narodziło się w miejscu najmniej spodziewanym, bo na Węgrzech i to na długo przed ostatnią wojną. Zmarły przed pięcioma laty dr Erwin Baktay — profesor Uniwersytetu Budapeszteńskiego — znany również jako „Leniwy Bawół", już w roku 1931 stał się założycielem pierwszego w swoim rodzaju „plemienia indiańskiego", którego działalność z małymi przerwami trwała do 1955 roku.

Początkowo plemię „węgierskich Indian" składało się z 16 mężczyzn, których łączyło głębokie umiłowanie przyrody, sportowy duch i umiejętne korzystanie z wypoczynku. Najczęstszym miejscem ich pobytu była wyspa na Dunaju, pod Budapesztem. Każdy z nich miał własny, indiański wigwam. Ubierali się w stroje Indian północnoamerykańskich i korzystali z narzędzi i przedmiotów przez nich używanych.

C. d. na str. 12–13

„MODA NA INDIAN" przybiera coraz bardziej na sile. Ulega jej nie tylko młodzież, ale nawet i starsi. Indianie — ich życie, zwyczaje, stroje, umiłowanie przyrody, odwaga i zręczność, szlachetność i wiara w ludzi — znajdują pod każdą szerokością geograficzną coraz więcej naśladowców. Nie brak ich również u nas — świadczą o tym listy, jakie każdego dnia przychodzą do redakcji. Badacze tego zjawiska przypisują jego początek... Węgrom.

W WIGILIJNY WIECZÓR, W SYLWESTROWĄ NOC

TWÓRCA NASZYCH PRZEŻYĆ

SZTUKI W REŻYSERII Adama Hanuszkiewicza wzbudzają najbardziej różne odczucia. Ludzi konserwatywnych denerwują jego kapitalne pomysły. Inni entuzjazmują się każdą jego nową inscenizacją. Reżyserowane przez Hanuszkiewicza w teatrze i telewizji spektakle zawsze otwierają szerokie pole do dyskusji. Ja — każdej nowej jego premiery oczekuję z biciem serca, z przeświadczeniem, że stanie się ona wydarzeniem teatralnym stolicy. Jego teatr jest niepowtarzalnym, żywym obrazem, który chłonie się z zapartym tchem.

Z Adamem Hanuszkiewiczem bardzo chętnie wdałabym się w gorącą dysputę. O czym mówilibyśmy? Na pewno o jego najnowszych, jak zwykle kontrowersyjnych, inscenizacjach i oczywiście o zamierzeniach twórczych. Bardzo chciałabym poznać plany artystyczne Hanuszkiewicza, obejrzeć w czasie teatralnej próby, jak tworzy on ten spektakl, który potem staje się cząstką moich przeżyć.

Czarna Kropka z Warszawy

Foto: L. Charewicz

W wigilijny wieczór, w noworoczną noc — przy zapalonej choince — każdy lubi pomarzyć. Wybraliśmy się więc do dwóch szkół: nr 211 w Warszawie i nr 21 w Opolu, i klasom ósmym „A" zadaliśmy te same dwa pytania:

Z KIM SPOŚRÓD WIELKICH LUDZI — ŻYJĄCYCH LUB NIE — CHCIAŁBYŚ SIĘ SPOTKAĆ? O CZYM CHCIAŁBYŚ Z NIM POROZMAWIAĆ, O CO ZAPYTAĆ?

Zapraszamy wszystkich, którym nie brak fantazji, do tej dyskusji. Na kopertach zaznaczcie: NIEZWYKŁE SPOTKANIA.

Niezwykłe SPOTKANIA

DLA TWARDOWSKIEGO — ŻUR PO STAROPOLSKU

MILE WIDZIANĄ przeze mnie osobą byłby Twardowski, którego charakter i fantazja należą do naszych cech narodowych. Ciekawi mnie, jakiż to wymyślił fortel, aby na Księżycu ukryć się przed Amerykanami. Wiemy o tym, że go nie spotkali, nie było na ten temat komunikatu. Czy ziemscy przybysze nie zakłócili jego codziennego trybu życia, wybierając się tak bez zaproszenia do jego włości? Zapewne przebywał w jakimś kraterze i z niespodziewanymi gośćmi bawił się w ciuciubabkę. Może nie miał ich czym poczęstować? A to dla Polaka bardzo niezręczna sytuacja.

Niedługo i ja wybiorę się na Księżyc. Zabiorę ze sobą żur po staropolsku i wydam ucztę, na którą zaproszę Twardowskiego.

Gucio z Warszawy

TAJEMNICE WSZECHŚWIATA

ZAGADNIENIAMI nurtującymi mnie jest astronomia i kosmos. Przeczytałem już wiele książek fantastycznych, popularno-naukowych i naukowych, które niestety, nie zdołały zaspokoić mojej ciekawości.

Czy na innych planetach istnieje życie? Czy istnieje możliwość zbudowania statku kosmicznego o szybkości przewyższającej prędkość światła? Jak wielki jest Wszechświat? Wyczytałem gdzieś, że długość Wszechświata wynosi 10^{23} km. A co jest dalej? Dręczy mnie bardzo wiele pytań podobnych do tych, które wymieniłem.

O tych sprawach chciałbym porozmawiać ze znanym specjalistą w tej dziedzinie, profesorem Zonem. Astronomia kryje jeszcze wiele tajemnic, które pozostały człowiekowi do odkrycia.

Jacek W. z Opola

CHCIAŁBYM SPOTKAĆ WIESZCZA

MOIM IDEAŁEM jest Adam Mickiewicz. Jego język jest niby taki sam jak wszystkich. A jednak kto potrafił i potrafi tak pisać jak on, kto umie w tak niezwykły i romantyczny sposób opisywać przyrodę i uczucia ludzkie? Nikt z poetów nie potrafił tak pięknie jak on przedstawiać wydarzeń historycznych. A jego styl? Słowa są tak dobrane, że pasują do siebie, jak części w precyzyjnych urządzeniach.

Najbardziej interesuje mnie, jak Mickiewicz tak znakomicie opanował sztukę pisania.

Gosiczek z Opola

CO WASZA KRÓLEWSKA MOŚĆ SĄDZI O „SYRENCE"?

WYBRAŁEM SOBIE jednego z królów polskich, Jana III Sobieskiego, którego koniec panowania był początkiem końca Rzeczypospolitej.

Gdybym zobaczył króla pijącego kawę w kawiarni, mógłbym podejść i po przywitaniu grzecznie zapytać: „Jak W. K. Mości smakuje kawa? Czy tak jak turecka?"

Myślę, że król, człowiek uprzejmy, odpowiedziałby: „Może nawet ją wypiję". I wtedy już na dobre zacząłbym dyskusję o współczesności. Zapytałbym się: „Jak W.K. Mość sądzi, czy Legia ma szanse zdobycia pucharu mistrzów?" Nie wiem, jaka byłaby odpowiedź, bo przecież król nie chodził na mecze, ale bez względu na to pytałbym dalej. Np. o coś z dziedziny motoryzacji: Czy Wasza Królewska Mość uważa „Fiata-125P" za dobry samochód? Czy nasza „Syrenka" jest śmiglejsza od koni huzarskich? Mam nadzieję, że choć jedna odpowiedź byłaby twierdząca.

Wreszcie spytałbym o coś poważniejszego: Dlaczego W.K. Mość nie starał się bardziej skutecznie ukrócić tzw. szlacheckiej „złotej wolności", która doprowadziła nasz kraj do upadku? Problem jest dość skomplikowany, toteż sądzę, że na ten temat potoczyłaby się dłuższa dyskusja.

Wreszcie podziękowałbym królowi za zbudowanie Pałacu Wilanowskiego i pożegnałbym J.K. Mość.

M. Zimoch z Warszawy

Wypowiedzi zanotowała B. SKÓRSKA

I.u dokonano kosmicznych oblicze.ń, tyle Wam „Świat Młodych" s.łada dzisiaj życzeń.

dziewięciu z nieba

WNOCY 9 WRZEŚNIA 1944 roku, z lotniska w Białej Podlaskiej wystartował samolot i obrał kurs na Bory Tucholskie. (Przypomnijmy — tereny naszego kraju, leżące po lewej stronie Wisły, znajdowały się wówczas pod okupacją hitlerowską). Na jego pokładzie, oprócz załogi, było 9 spadochroniarzy pod dowództwem porucznika **Jana Miętkiego.** Skok odbył się między jeziorem a lasem, nad miejscowością Niemieckie Okoniny. W kilka dni potem „dziewięciu z nieba" nawiązało kontakty z ludnością, powiększając swoje szeregi o miejscowych „leśnych".

Ówczesny dowódca tej grupy pełni obecnie służbę w Stołecznej Komendzie Milicji Obywatelskiej w stopniu pułkownika i on sam opowiedział mi, jak to było wtedy, w lesie, przed 25 laty...

Zima leśnych ludzi

ZBLIŻAŁY SIĘ ŚWIĘTA. Spadł pierwszy śnieg. Ten śnieg, który tak bardzo upiększył bory, nie był nam przyjazny. Każdy ślad odciśnięty w bieli — demaskował. Wpadliśmy więc na pomysł: porobiliśmy sobie szczudła, których spód wyrzeźbiliśmy na kształt racic dzika. Kijek w rękę i można było wędrować przez las... Nie chcieliśmy przerywać naszej działalności w okresie zimy, tym bardziej że mieliśmy nawiązane kontakty z miejscową ludnością. Sięgały one nawet w głąb Niemiec. Zdobyliśmy też dokładne plany umocnień budowanych przez faszystów na Wiśle, w okolicach Grudziądza. Spodziewaliśmy się również w okresie świąt zrzutu z „Wielkiej Ziemi", czyli z terenów wyswobodzonych już spod okupacji. „Jurek" (taki pseudonim nosił radiotelegrafista Gieorgij Ukołow) nie dawał sobie rady, tyle było depesz do zaszyfrowania i nadania.

Mrozów nie baliśmy się. Przed zimnem chronił bunkier, dobrze zamaskowany i opatulony faszyną. W bagnie mieliśmy sporo zasolonego i zamrożonego mięsa. Sól, cukier, tytoń, papierosy, a przede wszystkim amunicję — posiadaliśmy również.

Kilka dni przed świętami zjawiły się na naszym terenie dzieci po choinki. Jeden z partyzantów założył więc kapelusz z piórkiem, udał gajowego i przegonił je. Tuż po tej wizycie, posterunek zameldował, że pobliską drogą idzie ośmiu żandarmów. Co robić? Obeszli nas jednak dookoła. Zostawiliśmy więc ich w spokoju. W dwa dni później na pobliskich bagnach odbyło się polowanie z nagonką na zające. Czekaliśmy z automatami, ale nagonka przeszła jakieś 30 metrów od bazy... Cieszyliśmy się, bo śladów nam narobili. Teraz i bez szczudeł można było chodzić po lesie.

Akurat 21 grudnia otrzymujemy „szyfrówkę", że zrzutowisko nasze zostało zatwierdzone. Skoczków spodziewać się mamy 23 grudnia, oczywiście nocą. Będzie to kobieta — radiotelegrafistka — i mężczyzna — zwiadowca. Tymczasem 22 o godzinie 5 rano wpada wartownik.

— Komandir, wstawaj! Słychać jakieś maszyny.

Zarządziłem natychmiast alarm — i słucham. Z dwóch stron dobiegają słowa niemieckiej komendy. Całą uwagę skoncentrowałem teraz na planie walki. Dlaczego nas wykryli? Czyżby dzieci przyszły wtedy na zwiady?... A ci żandarmi?... Polowanie?... Obejrzeli sobie teren... Teraz otoczyli i mają nas w ręku. Nie, jeszcze nie mają!

Mój plan był następujący: podpuścić ich blisko, wytrzymać i dopiero wtedy dać ognia.

Nadajemy przez radio depeszę o sytuacji, zaznaczamy, że zrzutu nie przyjmujemy.

Partyzanckie święta

OKOŁO POŁUDNIA zaczęła się strzelanina. Po stronie Niemców wielu rannych. U nas — Stanisław Mroczek i mój zastępca — „Wiktor", czyli Wiktor Aleksiejew.

Hitlerowcy szturmują kilkakrotnie. Za każdym razem odpieramy ataki. Aby wyczekać do zmierzchu! — myśle. — Wtedy spróbujemy się przebić... W tym celu dzielimy się na dwie grupy. Kiedy zapada ciemność, pierwsza grupa z rannym Mroczkiem przedziera się na bagna. Partyzanci krzyknęli coś po niemiecku do żandarmów. Zdezorientowali ich. Pierwszej grupie udało się przejść. Myśmy spróbowali kilka godzin po nich. Uderzamy w jedno miejsce, nie udaje się. Przekradamy się w przeciwnym kierunku. I... nie pada ani jeden strzał. Przechodzimy więc i my.

Teraz zaczyna się opętańczy marsz. O świcie jesteśmy w odległości 60 km od miejsca walki. Zbliżamy się do jakiegoś gospodarstwa. W naszej grupie jest ranny „Wiktor". Pożywiliśmy się i dalej w drogę! Kiedy napotykamy kopy siana postanawiamy odpocząć. Ledwośmy się zagrzebali — łącznik daje znać, że Niemcy w pobliżu...

Więc znowu marsz. W ciemności docieramy do wioski Lubiki. Ludzie karmią nas, gotują strawę. A tu „Wiktor" mdleje. Okazuje się, że ma dwa postrzały w przedramieniu, o których nie wiedzieliśmy. Bronek Warczak założył więc szal na nos i przy akompaniamencie pacierzy wiejskich kobiet — przeprowadził operację. Bez narkozy i znieczulenia. Gdyby nie on, to „Wiktor" nie doczekałby wigilii...

A dzień wigilijny i dwa dni świąt spędziliśmy razem z gospodarzami. Potem zmieniliśmy miejsce postoju, wyruszając pod Czarną Wodę, gdzie wybudowaliśmy nową bazę.

Wspomnienia pułkownika Jana Miętkiego spisała
WIESŁAWA MROCZEK

Rys. W. Lewiński

Ciekawe

Na spacerze

● **Ta psia mama bardzo wzorowo wypełnia swoje obowiązki. Co rano wyprowadza na londyńską ulicę swego malca na spacer. Ponieważ ruch na ulicy jest duży, a mały psiak nieostrożny, woli go więc prowadzić na smyczy.**

Jak skręcić?

● **Niełatwo wydostać się z ciasnego rzędu samochodów parkujących na ulicach wielkich miast. Sposób na ten kłopot wynalazł pewien Francuz, który przerobił przednie podwozie samochodu w ten sposób, że koła mogą się teraz obracać pod kątem 90 stopni.**

Tornister z sygnałem

● **Aby zapewnić uczniom bezpieczeństwo poruszania się na drogach publicznych między szkołą a domem, wyprodukowano w NRF tornistry zaopatrzone w sygnały ostrzegawcze. Teczki-rańce, jaskrawopomarańczowego koloru opatrzone są światłami odblaskowymi.**

Niech nikomu nigdy
włos nie spadnie z głowy
przy realizacji
marzeń księżycowy...

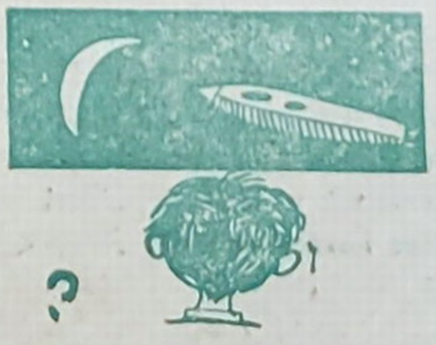

Historia na Szablach Pisana

Miecz koronacyjny królów polskich zwany Szczerbcem, użyty po raz pierwszy przy koronacji Władysława Łokietka w 1320 roku, w Krakowie.

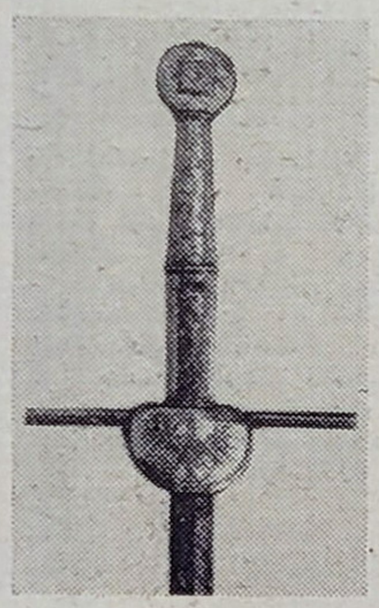

Miecz króla Zygmunta I (XVI wiek) używany do pasowania na rycerzy, podczas uroczystości koronacyjnych. Obydwa miecze są cenną pamiątką narodową, znajdują się w Skarbcu Wawelskim.

PIĘKNYM KOBIETOM zawsze ofiarowywano klejnoty. Dzielnym żołnierzom — medale. Z czasów licznych wojen I Rzeczypospolitej i narodowych powstań — pozostały sztandary i zabytkowa broń

Cennym dokumentem, na którym upamiętniono daty bitew, imiona królów, hetmanów, generałów i żołnierzy — są szable. Broni tej, która od końca XVI wieku stanowiła nasz oręż narodowy, ocalało sporo, choć niemało zrabowali nam zaborcy, słusznie mniemając, że w rękach Polaka jest to narzędzie niebezpieczne. Tym bardziej że przypomina sławne dzieje!

Najwierniejsza towarzyszka żołnierza

SZABLA przyszła do Polski ze Wschodu. Kraj nasz utrzymywał także bardzo ożywione stosunki dyplomatyczne i kontakty handlowe z Zachodem, ale szable nabierały w rękach szlachty polskiego charakteru. Pochodzące z Włoch, Niemiec, nawet z Hiszpanii miały zazwyczaj nie tak krzywe głownie (ostrza) jak szable tureckie.

Szlachta nosiła szable do codziennego ubioru. Noszono je przy pasie na tzw. rapciach z jedwabnego sznura lub rzemienia. W wojsku szable były bronią jazdy autoramentu narodowego. Cudzoziemska jazda, służąca pod naszymi sztandarami, używała rapierów i pałaszy. Husaria — najkosztowniej wyposażona formacja — miała szable pięknie zdobione. Natomiast pancerni, gromadzący w swych szeregach ludzi uboższych, a także jazda lekka — walczyli szablami tzw. czarnymi. Była to skromna bojowa broń, najwierniejsza towarzyszka żołnierza.

Kiedy książe siedmiogrodzki Stefan Batory został w 1576 roku polskim królem, rozpowszechnił się typ szabli zwany od jego nazwiska „batorówką". Nazywano je tak zresztą i w wiele lat po śmierci króla, jako że sława węgierskiego księcia na polskim tronie długo nie gasła. Szable o wąskich głowniach nazywano „smyczkami", „ormiankami", „hiszpankami". Wykonane ze stali damasceńskiej określano mianem „demeszki" zaś nazwa „indyczki" mówiła o tym, że ukuto je ze stali indyjskiej...

„Vivat Kawaleria Narodowa"

NAJBARDZIEJ wojennym stuleciem I Rzeczypospolitej jest wiek XVII. Ogniem i mieczem pustoszone ziemie — klęski szwedzkiego potopu, zdrady magnatów, rokosze, zrywane sejmy, niesławny traktat w Buczaczu — przeplatały się ze zwycięstwami pod Chocimem i triumfami innych bitew, aż po wyprawę wiedeńską króla Jana III.

Żołnierze nie zsiadali z koni, szable nie odpoczywały w pochwach. Na ten wiek przypada ogromne zapotrzebowanie na broń sieczną. Produkowano ją w licznych szabelniach na terenie kraju, a także sprowadzano z zagranicy i na miejscu oprawiano w rękojeści, zdobione według polskich gustów. W Warszawie, aż do 1665 roku była nawet ulica, nosząca nazwę Szpadnej. Zakłady pracowały zresztą w wielu miastach a także we wsiach. Każdy z nich, tak samo jak poszczególne warsztaty majstrów i cechów, znaczyły broń swoim specjalnym znakiem.

Fabryka w Mokotowie pod Warszawą sygnowała na przykład szable z wizerunkiem huzara lub kawalerzysty i napisem: „Vivat Huzar" lub „Vivat Kawaleria Narodowa".

Mieliśmy również zakłady należące bezpośrednio do państwa, gdyż ustawą 4-letniego sejmu z 1789 roku, dobra biskupstwa krakowskiego wraz z licznymi kuźnicami zostały upaństwowione i dostosowane do potrzeb armii. W okresie Powstania Kościuszkowskiego, szable i inną broń białą produkowały warsztaty, zorganizowane na terenie szpitala św. Ducha w Warszawie przy ulicy Fawory, gdzie pracowali rzemieślnicy z całego miasta.

Szabla z 1575 roku tzw. batorówka, pochodząca ze zbioru gen. Dąbrowskiego. Na szabli widać nabijane złotem popiersie króla Stefana Batorego oraz napis po łacinie: Stefan Batory król Polski. Na odwrocie znajduje sie tarcza z herbem Batorych — Wilcze Zęby.

Szable z dedykacjami

WIELKA RADOŚĆ zapanowała w Warszawie, gdy ogłoszono Konstytucję 3 Maja! Kraj wchodził na drogę reform. Konstytucja znosiła szlachecki przywilej „Liberum veto" — uchwały sejmowe miały teraz zapadać większością głosów, posłowie nie mogli już zrywać sejmu. Tron stał się dziedziczny, z czym również wiązano wielkie nadzieje; mieszczanie otrzymali pewne prawa.

Pod królewskim zamkniem odbyła się wielka patriotyczna manifestacja, wznoszono okrzyki: vivat naród, vivat król, vivat wszystkie stany!

Społeczeństwo Warszawy dla uczczenia tego wydarzenia ofiarowało królowi szablę z wygrawerowaną dedykacją, która w skrócie i w tłumaczeniu z łaciny brzmi: **„Stanisławowi Augustowi — Ojcu Ojczyzny ku upamiętnieniu Konstytucji 1791 roku".**

OPÓŹNIONY POCIĄG z Warszawy wjeżdża do Katowic. Ktoś ze współtowarzyszy podróży ciągnie mnie za ramię.

— Wysiadamy, a pani śpi, i do tego mówi przez sen!

Otwieram oczy... Trzeba będzie zabrać się do pracy...

W moim reporterskim notesie — jeszcze w Warszawie — zanotowałam wiadomość jednej z gazet: „W dniu urodzin wychowawczyni pewnej szkoły w Świętochłowicach otrzymała mówiącą papugę. Papuga umie mówić — „dzień dobry, nie chcę mieć dwójki".

GDZIE JEST

Nikt, kto by trafił na taką wiadomość, nie zostałby obojętny. Dlatego i ja muszę dostać się do Świętochłowic, aby zobaczyć rewelacyjną papugę!

Na dworze pada mokry śnieg, jest zimno. Miasto po niedawnych obchodach Dnia Górnika wygląda dostojnie i świątecznie. Mimo dymów, unoszących się w powietrzu, ma swój urok.

Tramwaj do Świętochłowic wlecze się jak żółw. W tym właśnie mieście mieszka „moja" papuga. Już ją widzę w wyobraźni; jest na pewno zielona, ma zakrzywiony dziób i wykrzykuje dwa zdania, które mogą zbić z tropu każdego. Kto wie, czy przy okrzyku — „Nie chcę mieć dwójki!" — każdy, kto zjawi się w gościnie u nauczycielki, nie robi natychmiast rachunku sumienia...

W Komendzie Hufca czeka na mnie dh Leon Kołodziej. Od tej chwili wypadki toczą się błyskawicznie. Rozmawiamy o tematach moich reportaży. Najpierw tych poważniejszych. Wreszcie nie wytrzymuję i pytam o papugę. Mimochodem spoglądam na komendanta; może zacznie się śmiać?

Nic podobnego. Przypomina sobie natychmiast ową notatkę.

— Pamiętam! Tak, tak, zaraz sprawdzimy!

Wykręca numer telefonu.

— Halo, Inspektorat? — Pytam o papugę. Nie słyszeliście o niej?

— Nie, ale ktoś o tym pisał.

Druh Kołodziej dzwoni z kolei do znajomych. Dźwięczy jeden telefon, drugi. Nic, cisza. Wszyscy wiedzą, że tu, w tym mieście, jest mówiąca papuga. Prawie każdy twierdzi, że o niej czytał, ale ani słowa więcej na ten temat. Mija już sporo czasu, a my nie mamy adresu.

Wpadamy na jeszcze jeden pomysł. Wykręcamy numer telefonu lokalnego pisma. Odpowiedź jest niejasna.

Dziś życzymy wszystkim .annom
śmiałym i n eśmiałym
kosmobal. w nie z tej ziemi
przez karnawał cały.

Rękojeść tej pamiątkowej szabli zdobiona jest ornamentem inkrustowanym złotem, a wśród roślinnych motywów w otoku laurowego wieńca widnieje napis **WOLNOŚĆ.**

Wolność ta jednak nie trwała długo... Granice Polski przekroczyły wojska carycy Katarzyny, śpiesząc na pomoc przeciwnikom reform, którzy w Targowicy zawiązali haniebną konfederację. Sto tysięcy liczyła armia carska, nasze wojsko było o połowę mniejsze. Kilka bitew jednak wygraliśmy! Bitwę pod Zieleńcami, gdzie książę Józef Poniatowski odniósł zwycięstwo, król uczcił ustanowieniem Orderu Virtuti Militari, który i dziś jest przyznawany za szczególne męstwo na polu bitwy. Pod Murachwą stawił czoła tysiącom przeciwników porucznik Golejewski, dowodzący zaledwie trzema szwadronami.

Nie wiem, w jakich okolicznościach otrzymał szablę z królewską dedykacją **„Za męstwo okazane w czasie wojny Polski z Rosją na posterunku pod Murachwą z trzema szwadronami..."** szabla ta dziś leży w jednej z gablot Muzeum Wojska.

Pod Arsenałem

W POCHMURNY WIECZÓR, 29 listopada 1830 roku, mieszkańcy Starego Miasta i Powiśla ruszyli pod Arsenał, gdzie mieścił się ogromny skład broni. Arsenał zdobyto. Uzbrojona ludność cywilna dołączyła do powstańczych oddziałów. Carskie wojska opuściły Warszawę. Stolica kraju znów była wolna! Na jednej z szabel upamiętniono tę chwilę: **„Wzięta z Arsenału warszawskiego 29 listopada 1830 roku odbyła kampanię 1831 roku i emigrację".**

Na pięknym, kosztownie zdobionym pałaszu, należącym do generała Henryka Dębińskiego, ofiarowanym mu przez oddziały formujące się na Litwie, lśnią złotem słowa: **„Dębiński, w Twej dzielnej dłoni ten oręż zyska hart nowy, błyśnie i skruszy okowy. Orła i Pogoń osłoni".** Na rękojeści pałasza widnieje herb Polski i Litwy, Orzeł i Pogoń.

Kiedy pod Stoczkiem został rozbity przez polską kawalerię jeden z doborowych oddziałów carskiej armii, maszerującej w niezbyt 115 tys. ludzi i 336 armat pod wodzą Dybicza — wprost na Warszawę, na szabli generała Józefa Dwernickiego wyryto datę: **„Stoczek 14 lutego 1831".**

Powstanie Listopadowe upadło... Na zachód Europy ruszyła wielka fala polskich żołnierzy. Nie zabrakło ich i w Wiośnie Ludów. Na szabli generała Józefa Bema, ofiarowanej adiutantowi, można odczytać słowa żołnierza skierowane do drugiego żołnierza.

Potem był rok 1863 i znów Polacy sięgnęli po swą narodową broń! Do naszych czasów zachowały się szable generała Mariana Langiewicza, Zygmunta Sierakowskiego, który ranny dostał się do niewoli i zginął. Jest pałasz-szabla Włodzimierza Różyckiego, a na niej widać orła trzymającego w szponach — szablę.

Obok pięknych i bogato zdobionych szabel z dedykacjami zachowały się w muzeach i te zwykłe, na których żadnych słów nie wypisywano złotem, żołnierskie szable Polaków.

ANNA GRZYBOWIECKA

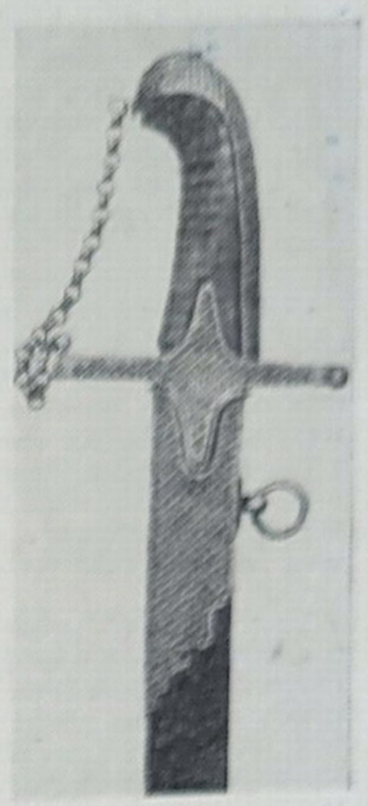

Koncerz typu węgierskiego z drugiej połowy XVII wieku. Koncerze były noszone do siodła, pod kolanem prawej lub lewej nogi. Długość ich wahała się od 1,2-1,55 metra, co pozwalało godzić w przeciwnika, siedząc na koniu. Koncerzy używano w walce z ciężkozbrojnym przeciwnikiem.

Średniowieczny miecz był nie tylko bronią, lecz i symbolem — koronowano nim królów, pasowano rycerzy. Po ojcu miecz odziedziczał syn, gdy wygasał ród, miecz łamano. Miecze były ogromne i te noszono na plecach, były też małe, służące do samoobrony w czasie pokoju. Pięknie je ozdabiano, nazywano imionami własnymi.

Oto jedna z historii związana z mieczami, zapisana przez Jana Długosza, autora Dziejów Polski.

Obie armie stały w wojennej gotowości na polach Grunwaldu. **„Władysław Jagiełło brał już hełm na głowę mając wyruszyć do boju, gdy mu doniesiono, że od wojsk krzyżackich przybyli dwaj heroldowie niosąc dwa gołe miecze bez pochew".**

Mistrz krzyżacki Ulryk słał królowi polskiemu ten „podarek", wyzywając go w słowach dumnych, pełnych przechwałek i pogróżek do stoczenia bitwy. Król Jagiełło wysłuchawszy słów heroldów przyjął miecze i rzekł:

— **„Chociaż w wojsku moim mam dostatek orężów i od nieprzyjaciół ich nie potrzebuję, ku większemu jednak wspomożeniu, bezpieczeństwu mojej słusznej sprawy, przyjmuję w imię Boże i te miecze od wrogów łaknących krwi mojej i narodu mego, przysłane".**

Wrogowie zostali rozgromieni. Z grunwaldzkiego pola zabrano krzyżacki oręż i krzyżackie sztandary...

Rys. M. Kościelniak

Szabla Zygmunta Sierakowskiego, który w czasie Powstania Styczniowego był dowódcą na Litwie i Żmudzi. Ciężko ranny w bitwie pod Birżami dostał się do niewoli, a w kilka tygodni później został powieszony. Szabla powstańca znajduje się w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

MÓWIĄCA PAPUGA?

Obiecują sprawdzić, kto przysłał do redakcji notatkę. Za godzinę mamy znów dzwonić.

Na czekanie szkoda czasu. Zabieramy rzeczy, idziemy do jednej ze szkół, w której doskonale pracuje drużyna harcerska. Po drodze ogarnia mnie niechęć do mówiącej papugi. A to złośliwa bestia. Jest nieuchwytna!

W Szkole Podstawowej Nr 7 zbieram informacje o pracy drużyny harcerskiej — a druh Kołodziej dalej dzwoni. Telefon za telefonem. Wciąż pytamy o papugę.

— Halo, czy to szkoła nr... — a po chwili wykręca następny numer i znów to samo pytanie... Do akcji poszukiwań włącza się p. kierowniczka szkoły. Też czytała o mówiącej papudze.

Przy którejś kolejnej rozmowie telefonicznj — pada pytanie — „Cóż to, kawał?..."

Do gabinetu wchodzi Andrzej Wieszała, zastępowy „Niewidzialnych". Andrzej potwierdza wiadomości, nie zna jednak właściciela papugi.

— Mój zastęp zajmie się tą sprawą — obiecuje poważnie i przy dzwonku na lekcje wybiega do klasy.

W pokoju robi się cicho. W Świętochłowicach jest 19 szkół. Gdybym odwiedziła każdą z nich, musiałabym mieć przynajmniej 2 dni czasu na poszukiwania... (dzwonimy ponownie do redakcji lokalnego pisemka).

Tak, ktoś pisał, przysłał do nas wiadomość, poszukamy autora!

Nie liczę zmarnowanych godzin. Trudno, czasem i tak bywa. Druh Kołodziej odprowadza mnie do przystanku.

— Wyślemy telegram jak się coś dowiemy — serdecznie zapewnia.

Zdaje mi się, że od tej chwili połowa miasta już omawia nasze poszukiwania. W autobusie za moimi plecami siedzą dwie uczennice. — „I wiesz ta papuga..." — mówi jedna z dziewcząt. Natychmiast zmieniam miejsce w autobusie.

W drodze powrotnej do Warszawy prześladuje mnie surowa twarz szefa. Popatrzy na mnie przez zaciśnięte zęby i zapyta — „Gdzie jest ta mówiąca papuga"?

ROMA JABŁOŃSKA
Rys. W. Lewiński

Niech z Was mają .adość w domu,
n.ech Wam stopnie w szko.e rosną.
Jak rakieta z kosmodromu
niech myśl Wasza leci w kosmos.

NA LINII były jakieś zakłócenia, więc tow. Smoleń krzyczał coraz głośniej do słuchawki. A głos ma taki, że aż dźwięczy w uszach:

— Ile? Dwieście sztuk „specjałów"? A bramkarskich dwadzieścia? Zrozumiałem. Będą na czas. Powtarzam: będą na czas! A gdzie jadą? Acha, do Japonii... No, dobra, sam przywiozę do Warszawy... Mówię, że sam przywiozę!

Tow. Smoleń próbował przekrzyczeć burczenia i chroboty telefoniczne, a ja przez ten czas piłem herbatę, przegryzając kiełbasą domowej produkcji pani Smoleniowej. Powiadam wam, że była najlepsza kiełbasa świata. Dlatego wspominam tę kiełbasę, bo zaraz potem zobaczyłem i własnoręcznie wypróbowałem najlepszy na świecie... kijek hokejowy!

Bowiem tow. Bronisław Smoleń, sekretarz gromadzkiego Komitetu PZPR w Męcinie, wsi leżącej w Beskidzie Sądeckim — jest równocześnie autorem patentu i producentem rewelacyjnych kijów hokejowych, o które ubiegają się najlepsze drużyny hokeja na lodzie. Zamówienia na owe kije płyną z całego świata. Mistrzowskie zespoły z Kanady, Szwecji, Norwegii kupują ich każną ilość.

— Wal pan. Ale z całej siły — mówi do mnie tow. Smoleń i daje mi kijek do ręki, a obok stawia krzesło. A ja myślę sobie: — jeśli ten kij taki dobry jak ta kiełbasa, to...

I z całą siłą walę kijem z góry o poręcz od krzesła. Łubudu! I jeszcze raz, z większym rozmachem! Niech się stanie, co chce...

I nic się nie stało, tyle że krzesło można było potem postawić tylko w kuchni, i do tego w kącie przy ścianie, a ja musiałem znowu pokrzepić się kiełbasą.

„Specjal-Smoleń" i „Super-Plastik"

PAN BRONISŁAW, rolnik i mistrz kołodziejstwa pojazdowego, od dawna interesował się hokejem na lodzie, choć nigdy tego sportu nie uprawiał czynnie. Oglądał mecze w pobliskiej Krynicy, gdzie w K.T.H. grali tacy słynni zawodnicy jak Csorich czy Lewacki, był nawet na mistrzostwach świata. Zainteresowało go to, że kijki hokejowe są takie nietrwałe. Tyle ich trzaska w czasie jednego meczu, jakie to marnotrawstwo sprzętu! Coś z tym trzeba było zrobić. Zaczął więc badać kierunki pęknięć i miejsca złamań, dobierać różne gatunki drewna, obmyślać nowe sposoby klejenia. Po wielu próbach i konsultacjach — m.in. z Csorichem — opracował nowy typ kija, wielokrotnie wytrzymalszy od dotychczasowego. Nazwał go sobie „SPECJAL-SMOLEŃ" i opatentował. Ponieważ zaś do wszystkiego, co robi, podchodzi poważnie, uzupełniał równocześnie swoje wiadomości zawodowe i w 1963 roku zdał egzamin na mistrza stolarstwa sportowego. Mógł teraz — jak to mówią — „osiąść na laurach" i wyrabiać swoje „SPECJALE", które stawały się coraz głośniejsze w kraju. Więc na przekór temu zabrał się to projektowania nowego typu kija.

— To, nad czym się pracuje, trzeba stale ulepszać — mówi mi — nie można się trzymać jednego, jak rzep psiego ogona. Kto stoi w miejscu, w każdej pracy, ten się cofa, bo życie szybko idzie naprzód...

Dzięki takim przemyśleniom powstał rewelacyjny „SUPER-PLASTIK", którym waliłem w krzesło i któremu nie mogłem dać rady. Łopatka tego kija pokryta jest tkaniną szklaną klejoną specjalnym klejem, epidianem.

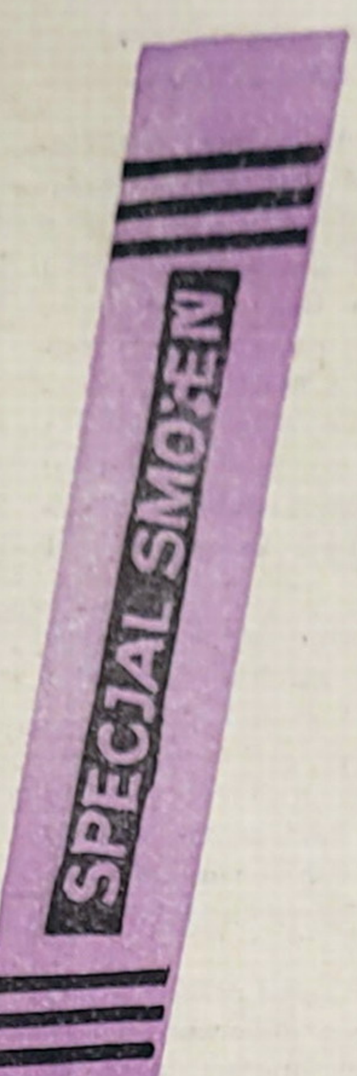

PATENT NR 43457

Tow. Smoleń — do czytelników

Męcina liczy sobie ponad cztery tysiące mieszkańców, a jeszcze do niedawna nie było tu światła elektrycznego. Żadne starania nie dawały wyników, obiecywano tylko...

— Źle się do tego zabierał komitet społeczny — mówi mi tow. Smoleń. — Czynem społecznym można wykonać ogromnie dużo, tylko trzeba wiedzieć jak. Pojedynczy człowiek niczego nie dokona, zszarpie się tylko i ośmieszy. W rezultacie straci zaufanie całej wsi. A tego się potem odrobić nie da. Trzeba działać w kolektywie, wszystko przed tym skrupulatnie przemyśleć, wysłuchać zdania innych i cenić to zdanie. Musisz po prostu wiedzieć, czego ludzie naprawdę potrzebują. I niczego nie obiecuj, jeśli sam nie wierzysz, że potrafisz to zrealizować. Dziś ludzie wszystko wiedzą, nie oszukasz ich byle czym, musisz być absolutnie uczciwy, nie próbuj więc czerpać jakichś korzyści z pracy społecznej. I tylko wtedy, gdy możesz ludziom patrzeć prosto w oczy — dokonasz tego, co zaplanowałeś. A bywa, że musisz zapomnieć o domu i rodzinie, złapać za łopatę, „iść na przebój". Praca społeczna to nie zabawa, i daje zadowolenie dopiero po wykonaniu zamierzeń. A do tego droga czasami daleka, a w daleką drogę trzeba się wybierać w dobranej grupie, nie samotnie...

Wyniki tego, o czym mówił mi tow. Smoleń, a co przekazuję wam jako uzupełnienie redakcyjnej dyskusji o pracy społecznej — widać w Męcinie na każdym kroku:

- **Cała wieś jest już zelektryzowana**
- **wybudowano KILKANAŚCIE kilometrów dróg**
- **postawiono nową, piękną i dużą szkołę, jakiej nie powstydziłaby się Warszawa**
- **buduje się Ośrodek Zdrowia i Dom Nauczycielski**
- **powstaje gromadzki pawilon sklepowy**
- **zaczęto budowę wodociągów.**

W tych wszystkich pracach brał udział tow. Bronisław Smoleń, o którym powiadają w Męcinie: „Jak Smoleń nam czegoś nie załatwi — to znaczy, że tego w ogóle załatwić się nie da".

Tekst i foto
JERZY DĄBROWSKI

Duży Bronisław i mały Bronek, czyli ojciec z synem, który już wkrótce zacznie trenować w „Złotym Krążku".

Ostatnie pociągnięcie pędzlem i 200 kijów zamówionych przez Polski Związek Hokeja na Lodzie — znajdzie się w Warszawie. Bowiem już wkrótce nasi hokeiści wyjeżdżają do Japonii, gdzie mają rozegrać siedem meczów treningowych przed mistrzostwami świata. A innymi kijami nie chcą podobno grać....

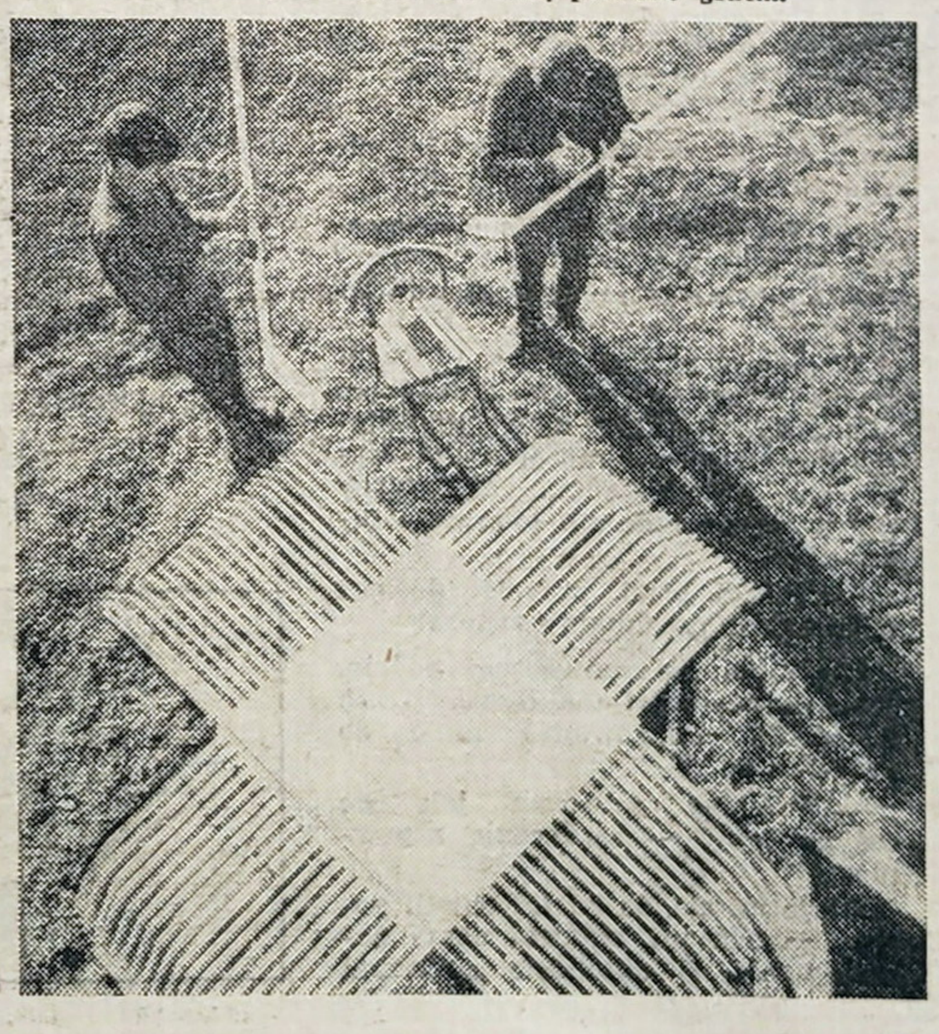

A TERAZ, REWELACJA!

Do wszystkich uczestników zawodów „O Złoty Krążek Świata Młodych".

Każda drużyna „Złotego Krążka" ma szanse na zdobycie piętnastu kijów hokejowych światowej sławy „SPECJAL-SMOLEŃ". Twórca tych kijów postanowił bowiem obdarować nimi jedną z czterech finałowych drużyn. Tę mianowicie, która osiągnie

NAJLEPSZE WYNIKI W NAUCE.

Bowiem prawdziwy hokeista, nie może być złym uczniem. Sam talent sportowy — to jeszcze nie wszystko, to co się naprawdę liczy w życiu — to zdobyta wiedza i zawód. A do tego trzeba się przygotowywać już od najmłodszych lat.

A więc kandydaci na przyszłych mistrzów: starajcie się tak kompletować drużyny, aby byli w nich dobrzy hokeiści, będący równocześnie dobrymi uczniami. każdy „dwójkarz" zaprzepaszcza bowiem waszą szansę na zdobycie

PIĘTNASTU REWELACYJNYCH „SPECJAL-SMOLENIÓW"!

Równocześnie ofiarodawca osobiście wręczy dodatkowo trzy kije hokejowe.

NAJLEPSZEMU STRZELCOWI FINAŁÓW „ZŁOTEGO KRĄŻKA"!

Szczegóły regulaminu nowych nagród — już wkrótce!

BRONISŁAW SMOLEŃ
REDAKCJA
„ŚWIATA MŁODYCH"

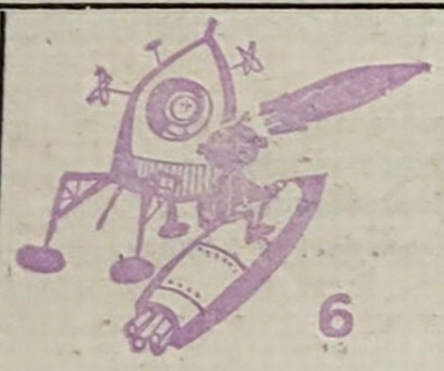

Z społowych lotów bez dra... i łopotów!

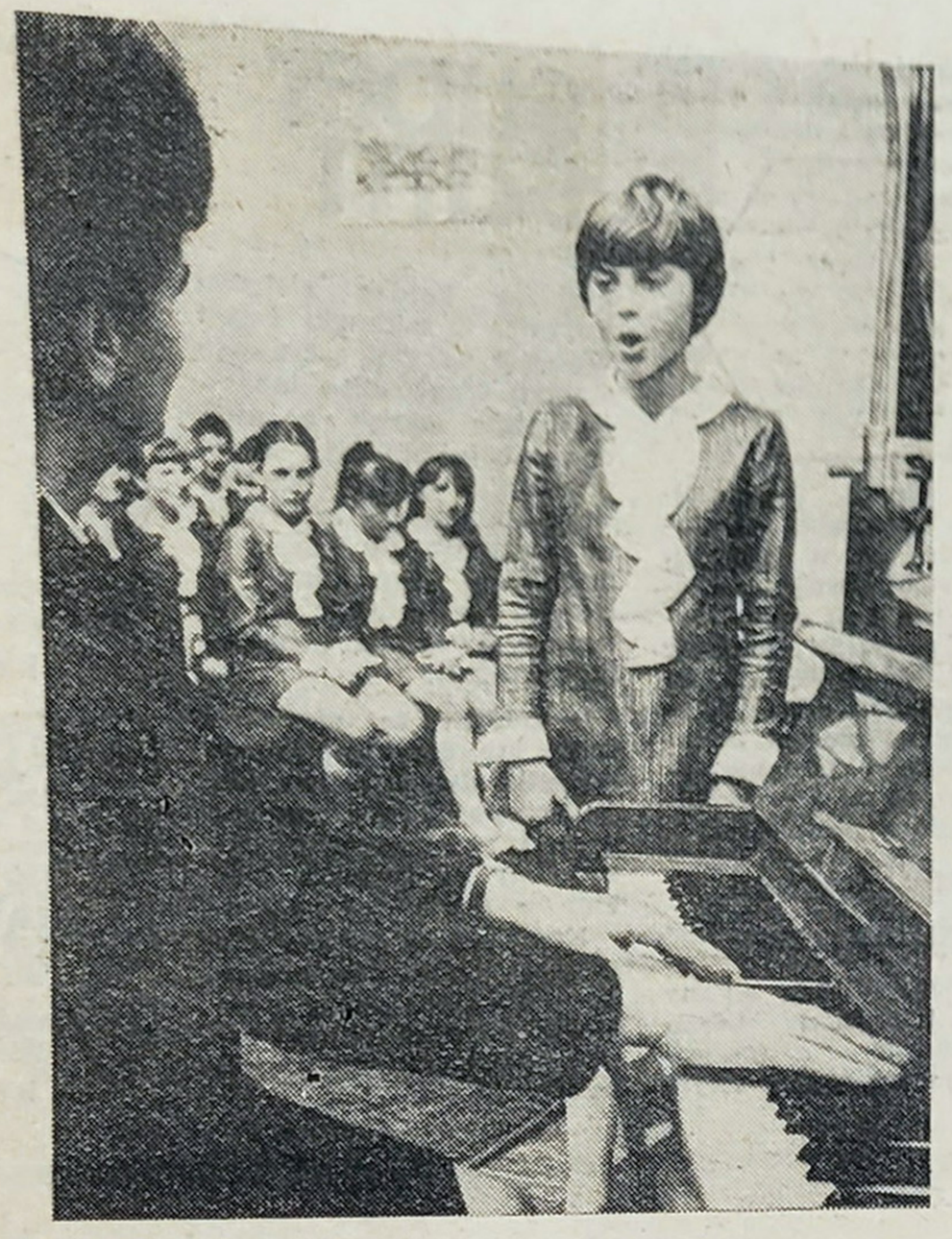

Jeden z najmłodszych „Skowronków" — Ewa Richter. Przy fortepianie pani Mirosława Wróblewska.

Foto: K. ADAMOWSKI

Śpiewają „SKOWRONKI"

PISANO O TYM w gazetach, mówiono przy kawiarnianych stolikach, w środowisku muzycznym dyskutowano zawzięcie. Lato 1967 roku upamiętniło się w Poznaniu premierą „Czarodziejskiego fletu" Mozarta.

Do wystawienia opery przygotowano się niezwykle starannie, a o reżyserię spektaklu poproszono naczelnego dyrektora scen muzycznych w Monachium — Kurta Pscherera.

Premiera wypadła znakomicie, a krytycy muzyczni pisali: „Gdybym miał wybierać pomiędzy tercetem Dam Królowej (W. Jakubowska, S. Benk, J. Winiarska), a tercetem Chłopców — śpiewają dziewczęta z Pałacowego Chóru Skowronków — naturalnie wybrałbym ten pięknie brzmiący, dowcipny zespół aniołków, zjeżdżających na chmurce. Jest w ich śpiewie owa mozartowska lekkość i elegancja, która czyni „Czarodziejski flet" dziełem tak oczekiwanym zawsze przez operową publiczność".

„Zachwycającym wręcz zjawiskiem — pisał inny recenzent — byli trzej Chłopcy (a raczej grające ich role anonimowe dziewczęta) z taką „anielską" czystością wykonania, żarliwością i powagą podejścia do muzyki rzadko zaprawdę spotykamy się w świecie dorosłym."

Anonimowe „aniołki", zjeżdżające na chmurce i śpiewające jak anioły w „Czarodziejskim flecie", do dziś można oglądać w Poznańskiej Operze.

— Nie łamie ci głosu trema, gdy śpiewasz przed tak ogromną i wyrobioną publicznością? — pytam Renię, jednego z tych „aniołków".

— Nie, trema zupełnie znika, gdy brzmią burzliwe oklaski, a zresztą na tej chmurce jest ze mną i Basia, i Beatka. Dziewczęta z naszego chóru często występują także i w innych operach, mamy już poza sobą niezliczoną ilość przedstawień operowych.

Dziewczęcy Chór „Skowronków" przy Pałacu Kultury w Poznaniu rzeczywiście jest chórem niezwykłym. Nim jednak dziewczęta wydobyły z siebie głos skowronków, kierownik i twórca chóru — pani Mirosława Wróblewska — musiała wykonać niezwykłą pracę i wykazać anielską cierpliwość.

SKOWRONKOWE ŻYCIE NIEŁATWE

TRAFILIŚMY WŁAŚNIE na próbę chóru. Za chwilę ma się odbyć w Pałacu Kultury uroczysty koncert w Dniu Nauczyciela. W programie: pieśń Moniuszki: „Przylecieli sokołowie"; wzruszający utwór szwajcarskiego kompozytora Willy Burharda: „O matko ma" i chór kobiet ze „Strasznego Dworu". Szczególnie ta ostatnia pozycja programu daje okazję do popisu znakomitych solistek chóru od koloraturowych sopranów aż do kontraltów. Śpiewa właśnie maleńki „Skowronek", 8-letnia Ewa Richter. Za chwilę znów występuje jej koleżanka Grażyna Borek.

— Ileż więc jest solistek w chórze? — pytam panią Wróblewską.

— Chór liczy 70 dziewcząt, w tym około 20 solistek i jeszcze jest 40 kandydatek, które się przygotowują do występów. Dziewczynki są w różnym wieku, od 8 do 18 lat.

— A skąd kandydatki?

— Zgłaszają się same. Badam przede wszystkim ich słuch muzyczny, bo głos można wykształcić. Zaczynają ze mną naukę od solfeżu, od podstawowych wiadomości, a potem ćwiczenia głosowe...

— Pewnie większość z nich jest w jakichś szkołach muzycznych, bo inaczej...

— Ani jedna z dziewczynek nie uczęszcza do szkoły muzycznej, uczą się w różnych szkołach.

— Jestem obecnie w drugiej licealnej i zastanawiam się, czy iść na medycynę czy na farmację — mówi Ewa Maciejewska, jedna z solistek, która śpiewa w chórze już prawie 10 lat.

— Mam zamiar zostać nauczycielką — mówi Danusia Wyrzykowska — jestem teraz w liceum pedagogicznym.

Jak tu pogodzić pracę w chórze i w szkole?

— Cóż — dziewczęta wykorzystują każdą wolną minutę i nawet na próbie chóru, tuż przed występem, doczytują w pośpiechu szkolną lekturę, uczą się chemii, matematyki — nie-

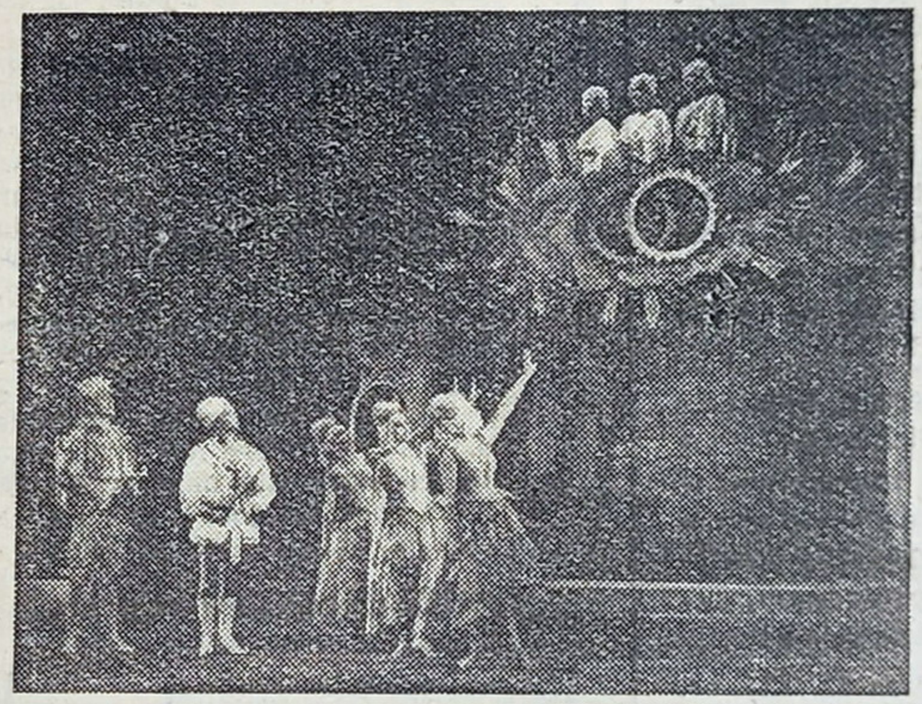

Scena z „Czarodziejskiego fletu". W gondoli od lewej: Beatka, Basia, Renia. Stoją od lewej: Jan Czekay jako Papageno, Marian Konbar jako Tamino i trzy Damy, panie: Benk, Jakubowska, Winiarska.

Foto: G. WYSZOMIRSKA

łatwe jest życie „Skowronków".

DLACZEGO PŁACZĄ?

CHÓR ISTNIEJE już prawie 19 lat, przeszkoliła pani tyle dziewczynek, wiele z nich już z chóru odeszło. Nie żal pani własnych, indywidualnych sukcesów, które mogłaby pani odnosić sama na scenie? — pytam, gdyż wiem, że pani Wróblewska zaraz po wojnie śpiewała w operze jako solistka. Są tacy, którzy pamiętają jak obiecująco debiutowała jako Gilda w operze Verdiego „Rigoletto".

— Niczego nie żałuję, a wręcz przeciwnie, przeżywam ogromną satysfakcję, gdy widzę jak ludzie płaczą. W październiku ubiegłego roku moje „Skowronki" występowały w Dniach Muzyki w Halle (NRD). W olbrzymiej uniwersyteckiej auli śpiewały „Walczyka Warszawy". Publiczność niemiecka słów nie rozumiała, a jednak cała widownia wstała i na stojąco biła nam brawa. U wielu widziałam w oczach łzy.

Niemcy mają duże tradycje muzyczne i znają się na dobrej muzyce, a o występach poznańskich „Skowronków" pisano: „Program polskich gości pozostawił niezwykle silne wrażenie. Zadziwił fachowym wykonaniem. Brzmienie chóru było bardzo jasne, ciepłe, intensywne, wyrównane do najwyższych tonów".

— Wspaniale było na Węgrzech. Widziałyśmy Budapeszt, Wyspę Małgorzaty i Dunaj, ten Dunaj, o którym śpiewamy walce Straussa. Występowałyśmy w telewizji, nagrywałyśmy całą audycję dla radia, przyjmowano nas tam niezwykle serdecznie — opowiada z zapałem Ewa o pobycie chóru na Węgrzech.

— A pamiętasz przyjęcie w Radzie Narodowej w Nagyeata? Grali hymn polski, a my idziemy po dywanie, polskie flagi, pamiątki, cudownie! — dopowiada Danusia.

„Skowronki" śpiewają nie tylko w Poznaniu, ale i w innych miastach Polski, a za granicą były już w Czechosłowacji, w NRD i na Węgrzech. Nie było ich tylko jeszcze w Warszawie. Już niedługo usłyszymy je także i w stolicy, wybierają się bowiem do Pałacu Młodzieży.

JEDNO SERCE I JEDNA DUSZA

„EIN Herz und eine Seele" — jedno serce i jedna dusza — łączą dyrygenta z chórem — mówił o „Skowronkach" jeden z profesorów w Halle. Istotnie, trudno o większą harmonię i zgranie. Wszyscy się doskonale rozumieją nie tylko w śpiewie. Dziewczęta znajdują przyjaciółki nie w szkole, lecz w chórze. Razem zresztą, każdego lata, wyjeżdżają na kolonie w okolice Zakopanego. Nawet jedyny mężczyzna w tym babskim gronie, pan Florian Marcinkowski, akompaniując „Skowronkom" już od 10 lat — czuje się jak w rodzinie. Dzięki sumiennemu szkoleniu i pracy, rodzinnej atmosferze, prawdziwemu umiłowaniu muzyki chór „Skowronków" odnosi sukcesy. A dlaczego ludzie płaczą?

Jest to zasługa zarówno wspaniałej muzyki jak i mistrzowskiego wykonawstwa. „Skowronki" śpiewają utwory klasyczne, popularne pieśni, folklor polski i obcy. Śpiewają z akompaniamentem i á cappella. Ulubione pozycje repertuarowe to „Kołysanka" Mozarta i fragmenty opery Moniuszki „Straszny Dwór".

„Skowronki" dorastają i ulatują spod opiekuńczych skrzydeł pani Wróblewskiej. Pozostają im jednak na całe życie zamiłowania muzyczne, a wiele z dziewcząt śpiewa dalej w chórach akademickich, w klubach, w chórze operetkowym. Niektóre zostają nauczycielkami śpiewu; słowem, niosą dalej w Polskę kulturę muzyczną, którą zdobyły w chórze „o jednym sercu i jednej duszy".

B. TYLICKA

Z serca Wam życzymy, a nie na papierz. Lak najwyższych lotów w dobrej atmosferze.

LABIRYNT

CZYLI OKAZJA DLA TYCH KTÓRZY CHCĄ MYŚLEĆ

REDAGUJĄ: ST. BOROWIECKI i J. DĄBROWSKI

Konkurs specjalny

Gdyby przemówiły...

ISTNIEJE sporo legend i wierzeń związanych ze Świętami Bożego Narodzenia i na pewno wiele z nich znacie.

Jedno z owych wierzeń zawsze mnie najbardziej interesowało. Pamiętam, że jeszcze jako dziecko chodziłem w dzień wigilijny do znajomego dorożkarza, siadałem w kącie stajni i czekałem na ów wyjątkowy moment, w którym zwierzęta przemówią do mnie ludzkimi głosami.

Stąd właśnie temat dzisiejszego, świątecznego konkursu specjalnego. Ciekaw jestem, o czym porozmawialibyście ze zwierzętami w dzień wigilijny, gdyby zwierzęta nagle zaczęły się posługiwać mową ludzką? Czy miałyby one coś do zakomunikowania nam, ludziom? A co wy byście im powiedzieli?

Czekam na wasze listy do dnia 31. XII. br. Najciekawsze wypowiedzi nagrodzę bonami książkowymi po 60 zł i wydrukuję w „Wydaniu Specjalnym Labiryntu".

NA KOPERTACH NALEŻY PRZYLEPIĆ AKTUALNY ZNACZEK „LABIRYNTU" I KONIECZNIE DOPISAĆ „GDYBY PRZEMÓWIŁY..." Koperty adresujcie jak zawsze: „ŚWIAT MŁODYCH" — WARSZAWA, MOKOTOWSKA 24.

JERZY DĄBROWSKI

Niech się sny Wam iszczą . arzenia skryte — wejdźcie bez awarii na dobrą orbitę.

Jak zmierzyć?

● Na rysunku widzicie butelkę napełnioną częściowo wodą. Pytanie: jak zmierzyć objętość całej butelki (łącznie z szyjką) posługując się jedynie miarką centymetrową. Nie wolno przy tym dolewać ani wylewać wody z butelki.

To samo zadanie rozwiążcie w przypadku gdy butelka w przekroju poprzecznym jest kwadratowa.

Świąteczny tort

● Nasz świąteczny tort ma nieco inny kształt, a mianowicie sześciokąta foremnego (patrz rysunek). Spróbujcie podzielić go na osiem równych części.

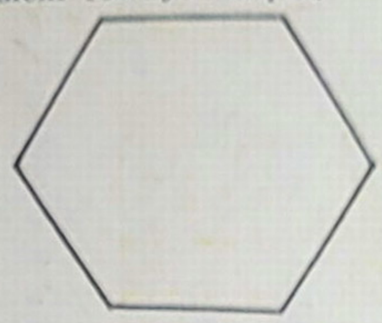

Przy okazji przypominam, iż sześciokąt foremny buduje się w następujący sposób: rysujemy cyrklem okrąg i tą samą rozwartością cyrkla dzielimy jego obwód dokładnie na sześć równych części. Wyznaczone na okręgu punkty (sąsiednie) łączymy liniami prostymi i otrzymujemy żądany sześciokąt.

Zadanie barona Münchhauzena

● Pewnego dnia słynny poeta niemiecki baron Münchhausen (czytaj: Miunśhauzen) zadał swym gościom bardzo ciekawe zadanie. Z sakiewki baron wysypał na stół szesnaście starych francuskich monet. Następnie ułożył z nich czworobok, ale tak, że w pierwszym rzędzie znajdowały się monety odwrócone „orłami" do góry, w drugim — „reszkami", w trzecim — „orłami" i w czwartym znowu „reszkami" (rys. 1).

— Oddam te pieniądze temu, kto, dotykając palcami tylko dwóch monet, tak je przestawi, aby powstał z nich nowy wzór przedstawiony na rysunku drugim — powiedział baron.

Kto zrobi to zadanie nie otrzyma oczywiście nagrody Münchhauzena, ale weźmie udział w losowaniu naszych tradycyjnych bonów książkowych.

Supersam

Zadania Supersamu każdy ... wiązuje sam. Odpowiedzi ... ły przesyłać w terminie ... dniowym od daty ukazania ... numeru. Na kopercie ... nakleja znaczek Labiryntu ... dopiskiem: „Supersam".

RYS. 1

RYS. 2

AKADEMIA PRYMUSÓW

WYKŁAD XXVII

Bądź realistą p...

NA PEWNO niejednokrotnie zetknęliście się z określeniem: — to człowiek praktyczny. Twierdzenie to oznacza na ogół, iż ktoś — do kogo odnoszą się te słowa — daje sobie dość dobrze radę w życiu, potrafiąc maksymalnie wykorzystać niewielkie środki, jakimi dysponuje.

Wydaje się, że częściej owym określeniem obdarza się kobiety. One to bowiem — mając na swych barkach troskę o dom, wyżywienie i ubranie domowników — muszą często dokonywać nie byle jakich wyczynów, aby wszystkich zadowolić. Ale oczywiście postawa ta, nie jest zarezerwowana wyłącznie dla kobiet i chciałbym, abyście sobie z tego jasno zdali sprawę.

W dzisiejszym wykładzie postaram się więc w miarę dokładnie określić to, co potocznie nazywa się **realizmem praktycznym**, a co niesłychanie pomaga człowiekowi przezwyciężyć wiele życiowych kłopotów, szczególnie tych, które można w pewnym sensie przewidzieć.

Wg profesora dr **Tadeusza Kotarbińskiego**, świetnego polskiego filozofa, realizm praktyczny wyróżnia się trzema cechami. Oto one:

1. „Primum non nocere", czyli: przede wszystkim — nie szkodzić. Ta maksyma stanowiła zresztą od niepamiętnych czasów główną zasadę... etyki lekarskiej. A oznacza ona, że decydując się na jakiś krok, musimy najpierw zastanowić się, czy nie przyniesie on szkody nam samym lub komukolwiek innemu. Nie jest to takie proste, jakby się wydawało na pierwszy rzut oka. No, bo powieźmy, że ktoś wypożycza z biblioteki szkolnej jedyny, będący tam, egzemplarz lektury i trzyma go w domu, nie pozwalając tym samym ... na korzystanie z książki ... ten sposób on sam **otrzy... stopień**, ale zupełnie słusz... służy na miano egoisty i s... **fanie najbliższego otoczeni...** sposób, **w ostatecznym efek... szkodzi sobie**. Realista p... **musi** przewidzieć taką sytu... winien więc tak postąpić, ... osobiste osiągnięcia w ... uszczuplały możliwości ... tym samym nie zwróciło ... ciwko niemu.

2. Druga cecha dzisiaj ... wana, to właśnie owa **u... zapobiegania złu, które mo... darzyć**. W medycynie i soc... si ona nazwę **profilaktyki**, ... wet takie określenie: p... społeczna. Chodzi w tym ... o to, by w odpowiednim ... w taki sposób pokierować ... jakiejś grupy społecznej, b...

Rozwiązanie zadań Supersamu L-28

OSTATNIA PORCJA zadań Supersamu nie sprawiła wam tyle trudności co poprzednia. Zdecydowana większość odpowiedzi była dobra, a nawet bardzo dobra z czego się cieszę niepomiernie. Jedynie „problem otwartej lodówki" okazał się zbyt trudnym zadaniem, chociaż wydawało mi się, że jest dziecinnie łatwy. No ale mogłem się oczywiście mylić.

Zgodnie z tradycją informuję, że tym razem otrzymałem rekordową ilość rozwiązań — 1347. Brawo!

A oto nagrodzone odpowiedzi.

Przeprawa przez rzekę

W PODANEJ sytuacji chłopcy mogli przeprawić się przez rzekę w następujący sposób: Jurek i Romek popłynęli razem na drugi brzeg. Jurek wysiadł a Romek wrócił tratwą na pierwszy brzeg. Potem popłynął sam Zbyszek. Zbyszek został na na drugim brzegu a na pierwszy wrócił tratwą Jurek. I znowu Romek z Jurkiem przeprawili się na drugi brzeg, Jurek wysiadł a Romek popłynął na pierwszy brzeg. Tu wysiadł, a jego miejsce zajął Staszek, który popłynął sam. Z drugiego brzegu wrócił tratwą Jurek i razem z Romkiem przeprawili się przez rzekę.

Nagrodę za to rozwiązanie wylosował **Dariusz Smolarek** z Blachowni k/Częstochowy, ul. XV-lecia Polski Ludowej, blok 9/3.

Tylko jedno pytanie

SKORO w odpowiedzi na pytanie wędrowca „Czy skarb zakopany jest pod środkową sosną"? — sosna rosnąca z lewej strony skłamała mówiąc „tak", wobec tego skarb nie mógł być ukryty pod nią. Nie mógł być też zakopany pod sosną środkową. Z tego wniosek, że skarbu należało szukać tylko pod sosną rosnącą z prawej strony.

Jak z powyższego widać zadanie nie było trudne i niemal wszyscy rozwiązali je prawidłowo. W tym wypadku nagrodę wylosował **Bogdan Zając** z Wrocławia, ul. Zmigrodz... m 10.

Przestawiank...

OTO KOLEJNE ... cje przestawiani... kie należało wy... aby rozwiązać zadan...

Pierwsze przestaw... zapałki oznaczone nu... mi 2 i 3 przesuwan... przód szeregu (patrz ... nek). Drugie przestaw... zapałki 4 i 5 przesu...

L 29

Sprinterski bieg

● **Wzdłuż bieżni ustawiono w jednakowych odstępach 12 chorągiewek. Start rozpoczyna się przy pierwszej z nich. W ósmą minut po starcie sportowiec znajdował się przy ósmej chorągiewce. Po ilu sekundach dobiegnie on do dwunastej chorągiewki, zakładając, że stale biegnie z tą samą prędkością?**

Uwaga, nie odpowiadajcie zbyt pochopnie, gdyż łatwo można się pomylić.

Testament dziadka pirata

● *Ponieważ bardzo* podobało się wam zadanie o zakopanym skarbie, na dziś, przygotowaliśmy jeszcze jedną zagadkę z tej serii. Zaznaczamy lojalnie, iż jest ona nieco trudniejsza od poprzedniej. A oto i zadanie:

Don Pedro z Toledo, po wielu latach od śmierci dziadka znalazł jego testament. Z dokumentu tego dowiedział się, że jego dziadek był piratem (co było oczywiście wiadomością nieprzyjemną) i w czasie swego niepochlebnego żywota zgromadził ogromny skarb. Majątek zakopał na bezludnej i pustynnej wyspie Papilos.

„Na wyspie nie ma nic, żadnych szczególnych znaków — pisał dziadek w testamencie. — Jedynie w południowej części wyspy rośnie samotna palma. Skarb zakopałem pod tą palmą w bezchmurny słoneczny dzień, 2 czerwca, o godzinie 17.45 w samym wierzchołku cienia rzucanego przez drzewo".

— Ależ to bardzo proste! — wykrzyknął uradowany Don Pedro. Zaopatrzył się w łopatę i wyjechał na Papilos odkopać skarb.

— A jak wy sądzicie? Jakie należy spełnić warunki i w jakim miejscu kopać, by dobrać się do skarbu dziadka — pirata?

praktycznym

szłości nie sprawiała ona kłopotów sobie i społeczeństwu. Realista praktyczny, umiejący zapobiegać ewentualnemu złu — to po prostu człowiek rozsądny: przed klasówką — przepowie sobie materiał (bo **przewiduje**, iż może się zdarzyć wyjątkowo trudny temat); nie głaszcze na

ulicy nieznanego psa (bo **przewiduje**, że pies może go ugryźć); nie jeździ na nartach czy sankach w pobliżu szosy (bo **przewiduje**, że może wpaść pod koła nadjeżdżającego samochodu). Krótko mówiąc: jest człowiekiem rozważnym, roztropnym, a nawet — bez przesady oczywiście — **ostrożnym.**

3. I wreszcie trzecia cecha realizmu praktycznego to **świadomość, iż złu łatwiej zaradzić w początkowej fazie niż później.** Znowu więc odwołam się do przykładu z medycyny. Masz chrypkę, trochę kaszlesz, czujesz lekki stan podgorączkowy. Myślisz sobie: — e, tam, nic mi nie jest, lepię jeszcze jednego bałwana, taki ładny śnieg, szkoda z niego zrezygnować.

I czym to się kończy? A, no grypą, lub czymś znacznie gorszym: zapaleniem płuc. Tydzień, dwa lub trzy zmarnowane, opóźnienia w nauce, dodatkowe kłopoty dla rodziców. A mogłeś przecież zrezygnować z zabawy, kiedy jeszcze nie było za późno, wpakować się do łóżka, mama by ci dała polopirynę i przeszło by po dwóch dniach. Przykro mi o tym mówić: — ulepiłeś bałwana, ale z siebie!

Realista praktyczny ma oczywiście dużo więcej problemów do rozważenia, niż te, o których wyżej wspomniałem. Musi zawsze wybierać rzeczy ważniejsze od mniej ważnych: np. czy kupić za zaoszczędzone pieniądze komplet do majsterkowania, czy nową dętkę do roweru, bo stara cała w łatach. Jeśli ma daleko do szkoły — wybierze to drugie. Jeśli zaś dojdzie do wniosku, iż większy pożytek dla niego i domu będzie z narzędzi, kupi narzędzia.

Nasze dzisiejsze rozważania prowadzą w gruncie rzeczy do udokumentowania, iż REALISTA PRAKTYCZNY MYŚLI O TYM, CO ROBI, JAK RÓWNIEŻ O TYM, CO Z TEGO MOŻE WYNIKNĄĆ W PRZYSZŁOŚCI. A taka postawa życiowa nie ma chyba wśród was przeciwników.

HOMO SAPIENS

na tył szeregu. **Trzecie przestawienie:** zapałki 8 i 4 przesuwamy na tył szeregu. **Czwarte przestawienie:** zapałki 1 i 6 przesuwamy na przód szeregu. **Przestawienie piąte i ostatnie:** zapałki 6 i 2 przesuwamy na tył szeregu. W rezultacie otrzymujemy układ zapałek przedstawiony na rysunku w ostatnim szeregu.

Nagrodę wylosowała **Maria Poniewierska** z Buska, ul. Mickiewicza 13.

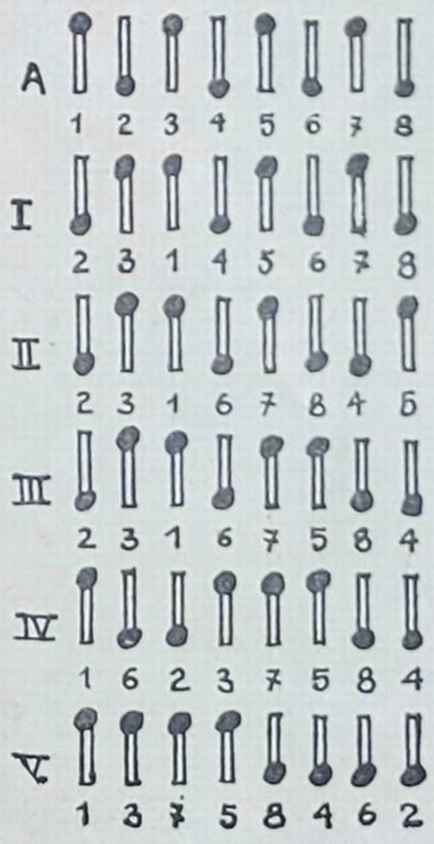

Problem otwartej lodówki

TEMPERATURA w mieszkaniu pana Kowalskiego nie tylko nie spadła lecz jeszcze się podniosła, podłączona do sieci elektrycznej działa jak grzejnik. Jest to oczywiste choćby i z tego względu, że pobierana z sieci energia nie może zniknąć, w tym konkretnym wypadku jest ona zamieniana na ciepło.

Nagrodę za to rozwiązanie wylosowała **Grażyna Wojciechowska** z Rembielina, pow. Płock.

Wszyscy wymienieni wyżej autorzy otrzymują bony książkowe po 20 zł, które zostaną wysłane pocztą.

ST. BOROWIECKI

Ten znaczek „Labiryntu" nalej na kopertę, w której przyłasz odpowiedzi na Konkurs pecjalny i zadania Supersamu.

KĄCIK KAROLINKI

NIEZALEŻNIE od tego ile dostaliście prezentów i jakie one są — ja chciałabym wam podłożyć pod choinkę jeszcze jeden. Bajkę. Mówicie, że bajki to dla małych dzieci? Że jesteście na to zbyt dorośli i za poważni? No to — popatrzcie na dorosłych: dorośli tatusiowie bawią się pod choinką kolejkami kupionymi dla synów, poważni dziadkowie grają w niepoważne dziecinne loteryjki i chyłkiem wyjadają rodzynki z ciast, a mamy zapominają o tym, że są mamami i cieszą się z każdej zapalonej na choince świeczki zupełnie tak samo, jak wtedy, kiedy były jeszcze małymi dziewczynkami...

Więc może i ja tę bajkę, którą chcę wam dzisiaj podarować, poprzedzę wstępem zaczynającym się od słów:

— Kiedyś, kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką, bardzo chciałam dostać na gwiazdkę słonia. Dużego słonia, z wielkimi uszami i ogromną trąbą. Ale nie dostałam, bo rodzina uważała, że lepszym prezentem będą przybory do szycia. Więc siedziałam razem z tymi przyborami pod choinką i było mi bardzo smutno. A potem sama sobie uszyłam słonia. Nie miał wprawdzie ani wielkich uszu, ani trąby, bo nie starczyło mi materiału i umiejętności krawieckich, ale zaraz wymyśliłam sobie na pociechę bajkę, tę właśnie bajkę, którą dzisiaj przekazuję wam...

BAJKA O SŁONIOWEJ TRĄBIE I SŁONIOWYCH USZACH

MYŚLICIE, że słonie zawsze miały takie długie trąby i takie wielkie uszy jak teraz? Nie miały. Miały bardzo zgrabne małe uszka i bardzo zgrabne malutkie noski. Tylko nogi miały zawsze duże i grubą skórę, bo od początku świata wszystkie słonie były gruboskórne... I właśnie kiedyś jeden taki gruboskórny słoń zobaczył trzy małpki, które siedziały na daktylowej palmie i zrywały daktyle.

— Ale te małpy mają słodkie życie! — powiedział słoń. — Właśnie na czubek palmy, tam gdzie ja nie mogę, jedzą daktyle i pewnie śmieją się ze mnie, że nie jestem taki zręczny jak one...

— Wcale się z ciebie nie śmiejemy! — wykrzyknęły małpki. I zaraz zaczęły słoniowi rzucać daktyle, żeby sobie podjadł. A jak rzucały, to śpiewały taką piosenkę:

— Ty na dole, my na górze — nic się nie martw — daktyl chwyć!

Nie złość się już słoniu dłużej, chcemy z tobą w zgodzie żyć!

Ale jak tylko małpki powiedziały, że one są na górze, a słoń na dole — słoń ryknął ze złością:

Możecie się wypchać tymi daktylami! Ja na dole, a wy górą! Jeszcze zobaczymy, kto będzie górą! — tak właśnie krzyczał i zaraz zaczął tupać ze złości swoimi wielkimi nogami. Tupnął raz — w ziemi zrobił się dołek. Tupnął drugi raz — dołek powiększył się... I wtedy słoń pomyślał sobie:

— Czekajcie, małpy! Już ja was urządzę! Dół wykopię pod daktylem, wszystkie małpy wpadną w dół, a ja będę wtedy góra i będę na was pluł!

I rzeczywiście wykopał dół. Ale jak wykopał, to sam się wkopał, bo dół był taki głęboki, że słoń nie mógł się absolutnie wydostać. Więc się przestraszył i zaczął płakać:

— Się wkopałem przeokropnie, teraz koniec, szkoda łez! Niech to wszystko małpa kopnie, ratunku! SOS!

— Nie ma rady — powiedziały małpki — tylko trzeba go z tej opresji wyciągnąć. Wprawdzie kopał pod nami dołki i niezbyt ładnie się o nas wyrażał, ale nie możemy go tak zostawić.

I zaraz zeskoczyły z drzewa, żeby słonia z dołu wyciągnąć. Jedna złapała za jedno ucho, druga za drugie, trzecia za nos... Ciągną, ciągną — wyciągnęły! A jak wyciągnęły, to się okazało, że małe i zgrabne słoniowe uszka też się wyciągnęły i stały się wielgachnymi, słoniowymi uszami, a mały nosek zmienił się w wielką trąbkę... I odtąd wszystkie słonie mają wielkie słoniowe trąby, żeby głośno trąbić i wielkie słoniowe uszy, żeby dobrze słyszeć to, co wszystkie słonie usłyszeć powinny:

— Dół kopałem pod małpami i nauczkę teraz mam, że kto pod kim kopie dołki, ten przeważnie wpada sam!

Życzę wam, moi kochani, żeby nikt nigdy pod wami nie kopał dołków —

Wasza

KAROLINKA

W każd.m domu jak .ok długi
ni.ch radość zagości
a zmartwienia niech zostaną
w stanie nieważkości.

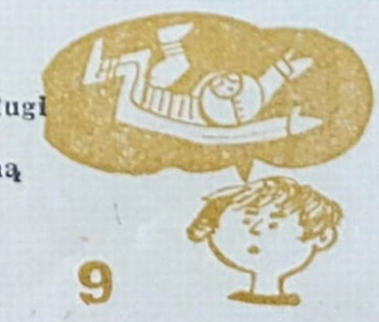

»ZŁOTA PIŁKA« dla Starówki

POZNAŁEM GO zupełnie przypadkowo. Któregoś dnia, spacerowałem uliczkami warszawskiej Starówki i w pewnym momencie ujrzałem grupkę chłopców z piłką pod pachą. Towarzyszył im szczupły pan, niewielkiego wzrostu, z mocno już przerzedzonymi włosami.

— Gdzie oni tak pędzą? — pomyślałem sobie i niewiele myśląc poszedłem za nimi.

Tymczasem chłopcy przecięli Rynek Starego Miasta, skręcili w Brzozową i znaleźli się na ulicy Bugaj. Stąd roztaczał się wspaniały widok na Wisłę i byłem przekonany, że chłopcy pójdą nad rzekę. Ale nie — zatrzymali się na niewielkim placyku, ogrodzonym siatką. Dopiero teraz zauważyłem, że na placu jest wyznaczone boisko do piłki nożnej. Stanąłem przy ogrodzeniu. Teraz chłopcy zaczęli się szybko przebierać. Wkrótce rozpoczęli sportową rozgrzewkę. Stwierdziłem, że wszyscy mają na sobie jednakowe żółte koszulki, granatowe spodenki i niebieskie trampki. Starszy, szczupły pan trenował wraz z nimi, ale widać było, że on tu jest najważniejszy. Chłopcy spełniali bez szemrania każde jego polecenie.

Po rozgrzewce, rozpoczęła się zabawa z piłką. Chłopaki zgrabnie podbijali ją raz lewą, raz prawą nogą — w ten sposób, ażeby nie dotknęła ona ziemi... Wreszcie rozpoczął się zaimprowizowany mecz. Piłka chodziła od nogi do nogi. Padały świetne bramki. Starszy pan sędziował, a równocześnie udzielał rad i wskazówek. Do moich uszu dolatywały słowa:

— Wojtek, podałeś niecelnie!

— Krzysiek, nie kiwaj się!

Wreszcie skończyli. Zaczęli się ubierać. Tylko szczupły pan nie zdejmował dresu. Czeka jeszcze na kogoś?... Nie omyliłem się. Na boisko wkroczyła nowa grupka chłopców. Trening rozpoczął się od nowa...

Rozbita szyba

OD TAMTEGO CZASU minęło sporo czasu. I niewątpliwie zapomniałbym o chłopcach z piłką — gdyby nie ten telefon. Otóż Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej „Starówka" zadzwoniło do mnie z informacją, że w lokalu Towarzystwa odbędzie się skromna uroczystość wręczenia „Złotej Piłki" drużynie chłopców ze Starego Miasta, która w turnieju piłkarskim „dzikich drużyn" uzyskała pierwsze miejsce. Poszedłem, no i... ujrzałem moich znajomych, Starszego szczupłego pana i... jego młodą drużynę. Byli szczęśliwi, uśmiechnięci, zadowoleni... Przyjmowali gratulacje za piękny, sportowy sukces. W pewnym momencie chłopcy otoczyli swojego trenera i zaśpiewali mu „Sto lat". Starszy, szczupły pan był bardzo wzruszony.

— Dajcie spokój — mówił. — To wy dobrze graliście. Co tam ja!...

Pomyślałem sobie wtedy: kim jest ten człowiek? Może to był sławny piłkarz? As międzynarodowych stadionów?

Kiedy uroczystości zakończyły się — wyszliśmy razem. Chłopcy gdzieś się rozbiegli... W świetle lamp ulice Starówki wyglądały jak z bajki...

— Pan tu gdzieś mieszka? — zapytałem.

— A tak. Niedaleko! Wie pan gdzie jest kino „Wars".

— Pewnie, ale to już na... Nowym Mieście.

— Nic nie szkodzi... Stare Miasto — Nowe Miasto... Dla mnie Starówka jest jedna... I chłopcy są jednakowi.

— Skąd ich pan zebrał?

— Właśnie ze Starówki! — usłyszałem odpowiedź.

— Piękne tu jest, ale mało mamy boisk. Stare Miasto jest ciasne, więc chłopcy grają w piłkę na chodnikach, w zakamarkach. Koło kina „Wars" jest taki kamienny placyk. Tam jest zawsze najgłośniej. I to o każdej porze roku. Jakie tam się rozgrywają mecze! Przychodziłem z pracy do domu, otwierałem okno i miałem najlepsze w świecie zawody. Najbardziej zacięte, najdramatyczniejsze...

Pewnego razu siedziałem sobie w domu i czytałem gazetę. Okna były pozamykane. Nagle... trzask, brzęk i piłka pac mi na głowę!

— O, rany — zawołano z dołu. — Teraz nam się dostanie!

Usłyszałem tupot nóg. Podszedłem do okna. Chciałem im odrzucić piłkę a tu patrzę — placyk pusty. Ani żywej duszy. Przerazili się — pomyślałem. Więc co robić? Zostawić sobie piłkę na pamiątkę? E, tam.

Zszedłem na dół, na plac, z piłką pod pachą. Na środku położyłem piłkę i usiadłem na niej. Pokażą się — myślę. Każdy chłopak przyjdzie po piłkę.

Mijały minuty... Wreszcie dostrzegam jednego. Wyskoczył z jakiegoś korytarza i jakby nigdy nic, stoi sobie. Zerka tylko na mnie. Potem pokazał się drugi, trzeci, dziesiąty.

— Co tak stoicie? — zawołałem w pewnej chwili. — Do kogo należy piłka?

Podszedł do mnie taki jeden z czarną czupryną.

— Bardzo przepraszam — mówi. — Ale to ja strzeliłem.

— Ale pudło — zaśmiałem się. Zawsze tak strzelasz?

— Nie zawsze — odrzekł.

Tajemnice psiego nosa

MYŚLIWI od wielu tysięcy lat posługiwali się psami, używając ich do tropienia zwierzyny. Właściwości psiego nosa znane są więc od dawna, ale badania naukowe nad tą sprawą rozpoczęły się dopiero w połowie ubiegłego wieku.

To, że pies tropi zwierzęta, nie jest czymś niezwykłym. Prawdopodobnie wynika to z faktu, iż mimo wielowiekowej współpracy z człowiekiem psy zachowały wspomnienia dawnych polowań z okresu dzikości. Ale w trakcie doświadczeń naukowych wyszło na jaw, że nasi czworonożni przyjaciele dysponują nieprawdopodobnie wrażliwym organem, przewyższającym wszystko to, co człowiek mógł do tego czasu wynaleźć i skonstruować. Oprócz tego doświadczenia ujawniły, że to co dawniej traktowano jako psi węch — jest, być może, czymś zupełnie innym.

Wystarczy powiedzieć, iż badania przeprowadzane przez prof. Miznikowa w Instytucie Pawłowa w ZSRR udowodniły, że pies może odróżnić „zapach" amoniaku, rozpuszczonego w wodzie w stosunku: JEDEN NAPARSTEK AMONIAKU NA MILIARD KILOMETRÓW SZEŚCIENNYCH WODY! Odpowiada to mniej więcej roztworowi naparstka amoniaku w tej ilości wody, jaka znajduje się we wszystkich morzach, jeziorach, rzekach i oceanach świata! Wydaje się to nieprawdopodobne, ale tak jest naprawdę.

Badania trwają nadal. O niektórych z nich przeczytacie poniżej.

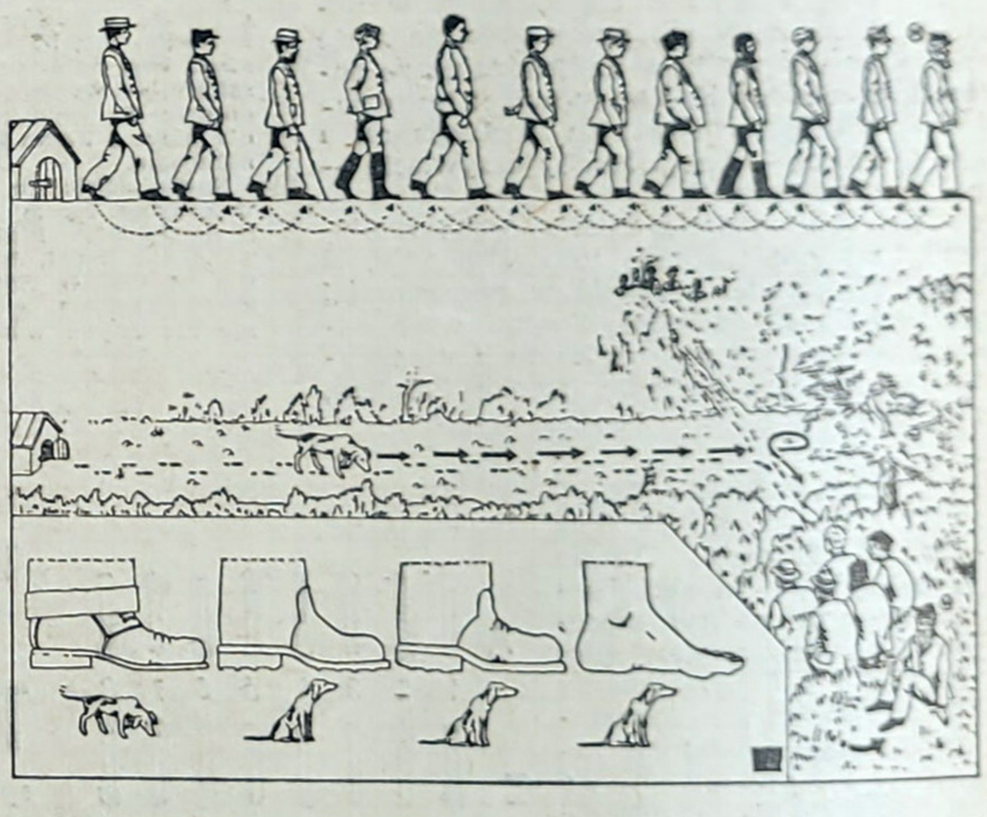

Oto jedno z pierwszych doświadczeń przeprowadzonych nad psim węchem w roku 1887. Angielski naturalista Romanes ustawił jedenastu mężczyzn za właścicielem psa (to ten pierwszy, oznaczony literą „M"). Wszyscy ci ludzie przeszli następnie tą samą trasą długości 100 metrów, idąc jeden za drugim dokładnie po śladach stóp właściciela psa. Następnie rozdzielili się na dwie sześcioosobowe grupy, które przeszły dodatkowo po 100 m. Pies znalazł swojego pana, mimo tego, że ślad jego był przecież zadeptany przez jedenaście, a potem przez pięć osób. Środkowy rysunek pokazuje drogę psa. Zwróćcie uwagę jak przebiega ona w miejscu rozdzielenia grup.

Doświadczenie przeprowadzano wielokrotnie, za każdym razem zmieniając nieco warunki. I okazało się wtedy, że pies rozpoznaje ślad swego pana tylko wtedy, gdy idzie on w swych własnych butach, które nosi na co dzień. Gdy pan ubierze zupełnie nowe lub pożyczone od kogoś buty — pies nie odnajdzie jego śladu. Dzieje się tak również wtedy, gdy właściciel psa idzie po trasie boso. Wynikałoby z tego, iż pies kierując się węchem rozpoznaje zapach nie swojego pana, lecz jego butów!

Chociaż to jeszcze o.legle w czasie i choć życzeni. są w środku zimy, lądujcie mię.ko w następnej klasie, czego Wam dzisiaj twardo życzymy.

Ten pan w środku (w czapce) to jest właśnie Kazimierz Skorupiński.
Foto: K. ADAMOWSKI

Tymczasem pozostali podeszli bliżej. Mieli jeszcze trochę wystraszone twarze, ale już im z oczu strzelały wesołe iskierki.

— Chcesz, to cię nauczę strzelać gole — zaproponowałem.

— Pan? — zdziwił się.

— Kto tu jest bramkarzem?

— Ja — odparł wysoki jak tyka chłopak.

— No to stań pod ścianą.

Wyznaczyli bramkę, ja ustawiłem sobie piłkę i strzeliłem płasko, w dolny róg. Nawet nie drgnął.

Tak się właśnie zaczęło. Ja polubiłem ich — oni mnie. Stworzyliśmy drużynę. A właściwie kilka drużyn, według wieku, od najmłodszych do najstarszych. Właśnie ci najmłodsi, te urwisy z placu, zdobyli w tym roku w Turnieju Dzikich Drużyn „Złotą Piłkę".

Razem z Bułanowem

BYŁ PAN MOŻE KIEDYŚ sławnym piłkarzem? Chłopcy patrzą w pana jak w tęczę — zapytałem.

Przez dłuższy czas szczupły pan milczał.

— Piłką nożną interesowałem się od najmłodszych lat — zaczął. — Grałem kiedyś tak samo, jak dziś moi chłopcy. Chodziłem na mecze, podpatrywałem sławnych graczy. Szczególnie tych z „Polonii". Kiedyś przed wojną, warszawska „Polonia" była sławnym klubem. Któż nie bronił jej barw? Szczepaniak, bracia Bułanowowie... To były asy! Mógłbym panu o nich cały wieczór opowiadać. Chciałem im dorównać, więc zapisałem się do klubu. — Nie — nie od razu do „Polonii" to były za wysokie progi. Grałem w takim sobie klubie — dziś powiedzielibyśmy III liga. Ale mimo że grałem w klasie niższej, nie przestawałem marzyć o tych właśnie wysokich progach. Tak się złożyło, że zaprzyjaźniłem się z Jerzym Bułanowem. Mieszkaliśmy w pobliżu i któregoś dnia, 1928 roku, zetknęliśmy się z sobą. Dzięki niemu przeniosłem się do „Polonii".

— Ile pan strzelił bramek? — zapytałem.

— Rozczaruję pana. Zagrałem w pierwszej drużynie tylko jeden jedyny raz.

„Polonia" wyjeżdżała na ważny mecz do poznańskiej „Warty". Odprowadzałem na dworzec Janka Bułanowa.

Cała drużyna jest już na dworcu, a tu jednego z braci nie ma. Trener chodzi zły jak jasny gwint. Wtedy odezwał się Jerzy.

— Niech jedzie Kazik. Zagra na lewej pomocy.

Pojechałem. Pamiętam ten mecz dobrze. Przegrywaliśmy 2:1. Do końca meczu już pozostały minuty. W pewnej chwili otrzymałem piłkę. Podciągnąłem do przodu. Na flance zauważyłem słynnego Szczepaniaka. Wystawiłem mu piłkę idealnie. Strzał i był remis. Takich chwil sportowiec nie zapomina.

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu. Chciałem zadać mojemu rozmówcy pytanie. Dlaczego poprzestał na tym jednym jedynym występie w ekstraklasie, ale jakoś nie chciałem być zbyt natrętny. Sprawę wyjaśnił mój rozmówca.

— Nie miałem warunków do uprawiania sportu — rzekł w pewnej chwili. Musiałem ciężko pracować, aby dopomóc matce. Inne były wtedy czasy. Ale kibicem „Polonii" pozostałem. Jestem nim do dzisiaj, choć moja dawna sławna drużyna gra aż w trzeciej lidze. Może wychowam dla tej drużyny jakiegoś asa z tych właśnie chłopców ze Starówki?

„Plac Broni" jest rozkopany

CHŁOPCY ZE STARÓWKI. Tak ich tu nazywają. Piłkarskie talenty. Zgrani, morowi — uganiają się za piłką pod fachową opieką szczupłego pana, który poświęca im dziś każdą wolną chwilę. Zbudowali sobie sami piłkarskie boisko. Właśnie na tym placyku przy ulicy Bugaj. Ostatnio, to boisko, ten ich „plac broni" rozkopano. Czy musiano tego dokonać?

W Warszawie leży dziś śnieg. Jest zimno. Ale na Starówce wciąż rozgrywane są mecze. W przyszłym roku chłopcy chcą zdobyć nowe laury.

Starszy, szczupły pan nazywa się **Kazimierz Skorupiński.**

Napisał Z. PAWŁOWSKI

PS. Prawdę mówiąc, chciałem napisać tekst o 50 rocznicy Polskiego Związku Piłki Nożnej. Napisałem jednak o chłopcach ze Starego Miasta i ich trenerze. Myślę, że dzięki takim właśnie działaczom, nasza piłka nożna osiągać będzie coraz to wyższy poziom. Z takich chłopców wyrastają piłkarskie asy. I być może na kolejnych mistrzostwach świata w piłce nożnej nie zabraknie wreszcie naszej reprezentacji. Może zagra w niej któryś z chłopców ze Starego Miasta.

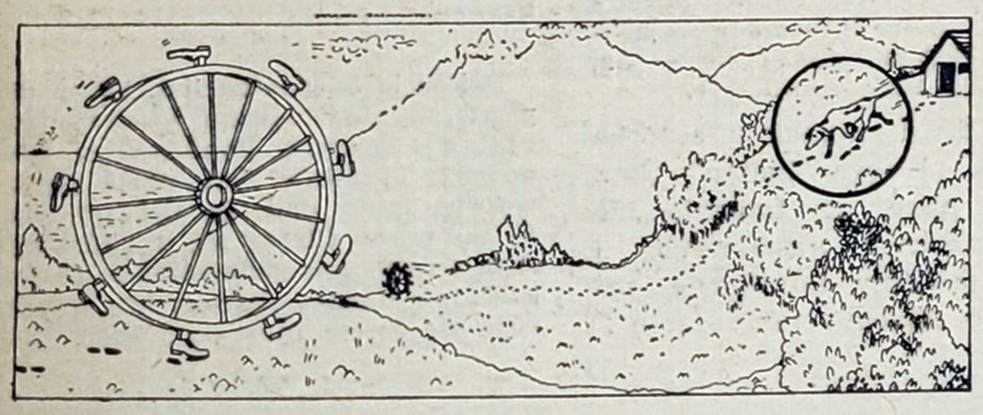

OPRACOWAŁ JERZY DĄBROWSKI

Około roku 1920 znakomity znawca psów rasy ogar, Niemiec K. Most, (kierownik szkoły psów policyjnych) — zadał sobie dwa pytania, które stały się podstawą wszystkich późniejszych badań. A brzmiały one — jak na owe czasy — zaskakująco: „Czy to, że pies WĘSZY ślad, jest wystarczającym dowodem na to, iż wchodzą tu w grę elementy zapachowe, a nie coś zupełnie innego? A może chodzi w tym wypadku o zupełnie nowy zmysł, tyle że zlokalizowany w psim nosie?

Aby odpowiedzieć na to pytanie Most zbudował metalowe koło o ciężarze człowieka i umieszczał na jego obwodzie buty wykonane z różnych materiałów: skóry, drewna, szkła itp. Buty te pozbawiono zapachu za pomocą sterylizacji, koło puszczano z pochyłości, a psy za każdym razem odnajdywały ślad! Nawet wtedy, gdy owe „buty" były wykonane ze szkła i nie miały żadnego zapachu!

To doświadczenie udowodniło więc, że pies nie odnajduje tropu zapachowego, lecz jakiś inny. Ale jaki?

Na to pytanie próbowano odpowiedzieć, przeprowadzając następne doświadczenia, ale i one niewiele wyjaśniły, choć zwróciły uwagę naukowców na pewną bardzo ważną rzecz. Otóż okazało się, że psy odnajdują trop tylko wtedy, gdy związany on jest z podłożem, np. powierzchnią ziemi, podłogą itp. Człowiek idący zostawia więc jakieś informacje dla psa, tylko w miejscu styku obuwia z powierzchnią, po której stąpa. Doświadczenie wykazało, że jeśli w pewnym miejscu (oznaczonym literą „A") człowiek siądzie na krzesełko wyciągu, to w tym miejscu trop się urywa. Nawet gdyby dalsza droga tropionego odbywała się kilka centymetrów nad ziemią.

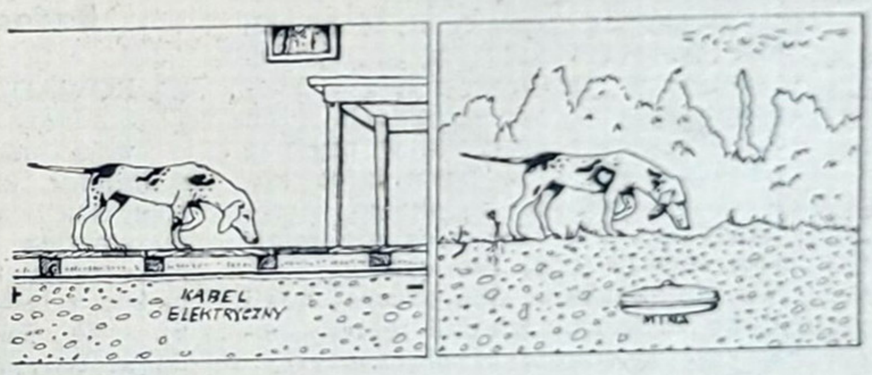

Ostatnie z przedstawionych wam doświadczeń, wprowadziło w zakłopotanie nawet naukowców. Odpowiednio przeszkolony pies wyznaczał położenie umieszczonego pod podłogą kabla, przez który płynął prąd elektryczny! Wyłączenie prądu powodowało kompletną dezorientację psa. Zwierzę sygnalizowało zatem obecność pola magnetycznego! A to z węchem nie ma już chyba nic wspólnego.

Również udowodniono, że psy mogą odnajdywać miny, ukryte dość głęboko pod ziemią. Psi nos pełnił więc w tym wypadku funkcję elektronowego wykrywacza min, którym posługują się saperzy. Świat nauki stanął przed kolejnym problemem do rozwiązania.

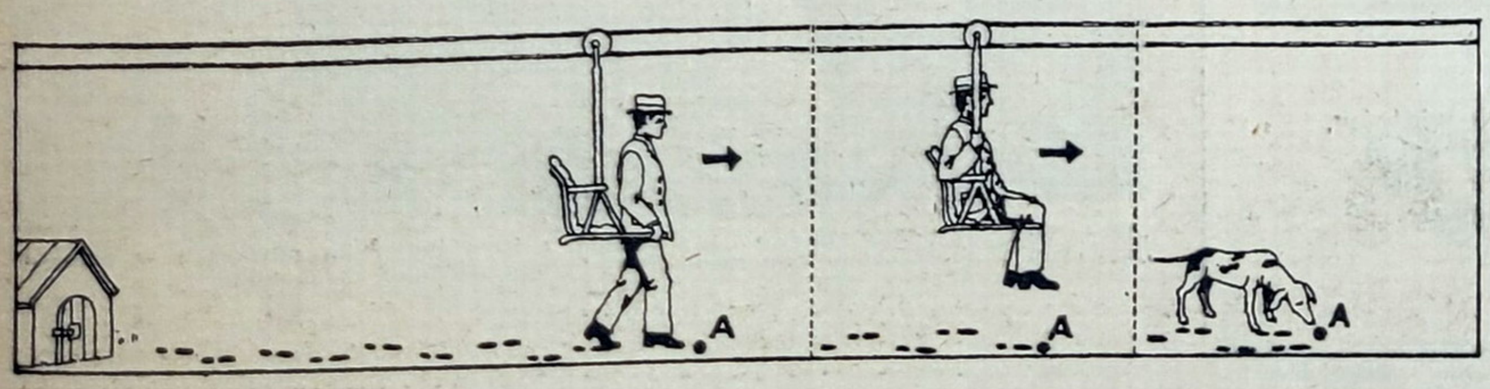

Ile po kosmosie
la.a mete.rów
tyle Wam na co dzień
życzymy humo.u.

INDIANIE znad DUNAJU

Walter S. Jackson — wódz plemienia Cherokee, zamieszkującego rezerwat w Północnej Karolinie (USA).

C.d. ze str. 1

Każdego roku spędzano wspólnie ponad 3 miesiące, wliczając w to urlopy i święta. Plemię nie trzymało się jakiegoś sztywnego programu. Obowiązywały tu ogólne zasady przyjęte przez wszystkich. A więc — wzajemna pomoc na co dzień, przyjaźń, kolektywna praca. Do podejmowania ważnych decyzji zbierała się „Rada Starszych", a wódz kontrolował, aby podjęte uchwały były realizowane.

Członkowie plemienia zdobywali orle pióra w sportowych turniejach: — w strzelaniu z łuków, rzucaniu lassem, w wyścigach kanu itp. Zwycięzca dostawał w nagrodę „Wielkie Pióro" z kosmykiem kolorowego włosia końskiego, natomiast ten, kto zdobył drugie miejsce, zwykłe pióro bez ozdoby. Prawo do noszenia pióropusza mieli tylko ci, którzy zdobyli w ten sposób przynajmniej 24 pióra.

Robiono własnoręcznie bluzy, legginsy, mokasyny zdobne paciorkami według autentycznych indiańskich wzorów.

— Nasze obozowe życie było ogromną przyjemnością i cudowną przygodą, a używanie strojów indiańskich dodawało jeszcze specyficznego uroku — pisał dr Erwin Baktay, „Leniwy Bawół" — wielki węgierski miłośnik Indian.

*

Podczas niedawnego pobytu na Węgrzech udało mi się nawiązać kontakt z jednym z plemion „węgierskich Indian", naśladowców pierwszego plemienia, którym dowodził przez blisko ćwierć wieku wspomniany już profesor.

Wśród „Wężów Dakota"

SPOTKANIE zapowiadało się dość prozaicznie — ani nie na wyspie, ani w ostępach leśnych, ani w stepie, lecz w... XVI dzielnicy Budapesztu, przy Mateszalka utca 16. Było późne popołudnie, kiedy redakcyjna „Wołga" zatrzymała się na podmiejskiej cichej uliczce, przed otoczonym ogródkiem domkiem, należącym do rodziny Kalmanów. Ledwie wysiedliśmy z wozu, usłyszałem skrzypnięcie furtki i nagle stanął przed nami młodziutki „Indianin" w przepięknym stroju, mówiąc gardłowym głosem:

— Hau — Kola, Tahua! — Minotakij!

Piroszka, redaktor z „Pajtasa", szepnęła mi do ucha: — To jest Toth Kalman, „Biały Wąż", wódz plemienia „Węże Dakota". Pozdrowił cię w narzeczu dakockim...

Kryjąc zakłopotanie, mocno ścisnąłem wyciągniętą dłoń wodza. W tym czasie zza krzewów ogródka wysunęło się dziesięć orlich piór, a wraz z nimi — dziesięć par oczu. I oto zostałem nagle otoczony przez dziesięciu „Wężów Dakota".

Teraz wszystko potoczyło się błyskawicznie: prezentacja, uściski rąk, obcojęzyczne słowa... Mój tłumacz gubi się: węgierskie bowiem zdania przeplatane są co chwila słowami a nawet zdaniami w narzeczu indiańskim, wypowiadanymi przez „Dakotów". W końcu „połapał się":

— Zostałeś zaproszony na posiedzenie rady plemienia — informuje mnie tłumacz Karol. — „Biały Wąż" objaśnił właśnie wojowników, że przyjechałeś z kraju, w którym żyje polski Indianin, Sat Okh — Stanisław Supłatowicz, autor książki pt. „Ziemia Słonych Skał". I zyskałeś ich sympatię — dodał.

Badacze życia Indian

PROWADZĄ MNIE do ogrodu. Siadamy pod rozłożystym drzewem morelowym, tuż obok schludnej komórki, która spełnia rolę skarbca plemienia. Zaglądam do wnętrza — są w niej łuki, tarcze, dzidy, tomahawki, zwoje lin, puszki z farbą, pióra, skórzane paski... Na ścianach wizerunki wodzów, typy wigwamów, sceny z polowań na bizony; jest półka z książkami — wszystkie o tematyce indiańskiej, a wśród nich przetłumaczona na węgierski „Ziemia Słonych Skał" — Stanisława Supłatowicza.

Nim „Biały Wąż" przystąpił do przewodniczenia radzie plemienia, proszę go o informację z działalności „Węży Dakota".

— Jest nas 12, wszyscy chodzimy do tej samej szkoły i należymy do drużyny pionierskiej — opowiada „Biały Wąż". — Łączy nas jedna sprawa i jeden warunek — głębokie zainteresowanie historią Indian oraz dobra nauka. Działamy, oczywiście, poza szkołą. Grup indiańskich jest na Węgrzech bardzo dużo, ale nasza różni się od innych tym, że oprócz typowej zabawy prowadzi poważną działalność naukową w dziedzinie indianologii. I to jest właśnie nasze główne zadanie — mocno podkreśla „Biały Wąż".

— Proszę sobie wyobrazić — ciągnie dalej — że posiadamy **wszystkie** książki o tematyce indiańskiej, jakie się ukazały w języku węgierskim, i to nie tylko z literatury pięknej, ale także wiele opracowań naukowych.

Studiujemy je, porównujemy informacje, wynotowujemy zawarte w nich różnice, stanowiska autorów, słówka indiańskie różnych narzeczy itp. Stwierdziliśmy na przykład, że wybitny węgierski znawca Indian, dr Bogler Lajos, który wydał już wiele prac naukowych, popełnił w nich kilka błędów. M.in. twierdził, że Indianie północnoamerykańscy nie używali „dmuchawek" z zatrutymi strzałami (na wzór Indian południowoamerykańskich). Zdobyliśmy na ten temat najbardziej wiarygodne informacje, z którymi pan Bogler zgodził się — ba, nawet złożył nam gratulacje.

A oto drugi przykład: autorka książki pt. „Księga Indian" pani Ewa Lips pisze, że Indianie nie używali alfabetu sylabowego. I znów uzyskaliśmy informacje zaprzeczające takiemu twierdzeniu...

Kontakt z wodzem Cherokee

JAK DOSZLIŚCIE do tych odkryć? — pytam z niedowierzaniem.

— Wujek jednego z naszych „wojowników" mieszka w Ameryce i kiedyś przysłał kilka kolorowych widokówek. Na jednej z nich był wódz plemienia Cherokee, Walter S. Jackson. Napisaliśmy do Waltera Jacksona, który mieszka w rezerwacie, w Półn. Karolinie.

— I co? — dostaliście odpowiedź?

— Nie bardzo w nią wierzyliśmy, ale ku ogromnej naszej radości, po kilku tygodniach, przyszedł na mój adres list z nadrukiem rezerwatu — mówi Toth Kalman. — Ze zrozumiałą niecierpliwością, w obecności całego naszego plemienia, otwierałem kopertę. List brzmiał:

Szanowny Panie

Dziękuję bardzo za list, który napisał pan do Związku Wschodniego Indian Cherokee. Ponieważ w Północnej Karolinie jest wiele rezerwatów, istny cud, że list ten trafił do mnie. Cieszę się z pańskiego listu i wyrażam zadowolenie, że jest ktoś tak bardzo daleko, kto interesuje się losem plemion indiańskich.

„Węże Dakota" odbywają swe posiedzenia z iście indiańską powagą i w pełnym „wystroju"; poprzedzone one są oczywiście odpowiednim rytuałem...

**Sł.necznych wiatrów,
słońca na co dzień,
słonecznych .yśli
przy niepogo.zie.**

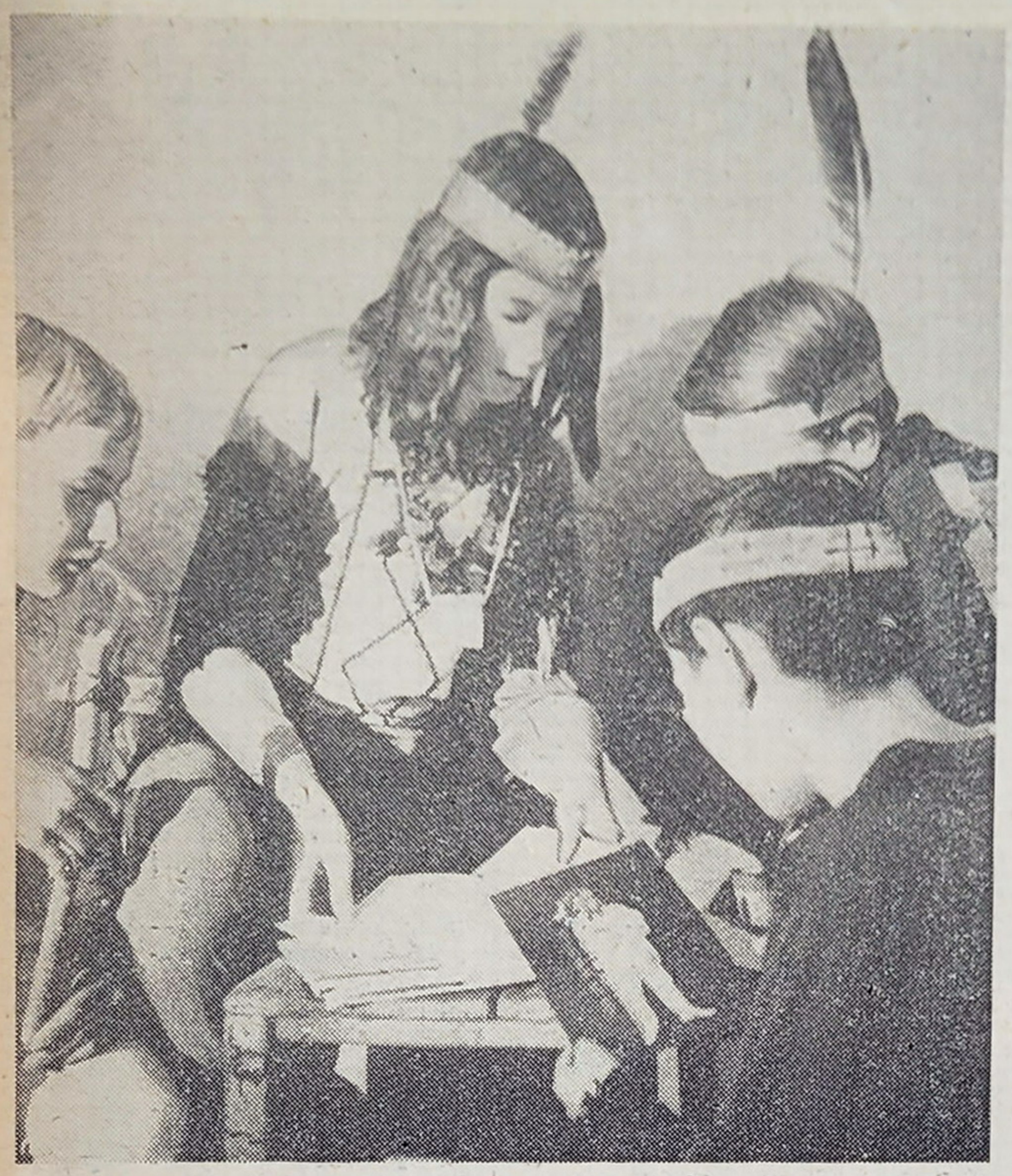

Nadejście kolejnej korespondencji od wodza plemienia Cherokee — to okazja do błyskawicznego spotkania „Wężów Dakota".

W dalszym ciągu jestem do pańskiej dyspozycji.

Z poważaniem
Chief Walter Jackson

— Było to w ubiegłym roku — ciągnie dalej „Biały Wąż". — Od tamtej pory prowadzimy z wodzem Cherokee stałą korespondencję. Otrzymaliśmy już 10 listów, a w nich wiele informacji i odpowiedzi na nasze pytania. Np. czy Indianie noszą dziś długie włosy, czy na co dzień chodzą w strojach indiańskich, jak wyglądają ich zajęcia, czy mieszkają w tipi...

Dowiedzieliśmy się, że dzisiejsi Indianie ubierają się „nowocześnie", a stroje tradycyjne zakładają tylko w dni uroczyste; że „dmuchawek" używali nie tylko Inkowie, ale także Cherokee i inne plemiona północnoamerykańskie, że alfabetu sylabowego używają Indianie do dziś... Chief Jackson napisał również o swoim plemieniu. Liczy ono obecnie trzy tysiące osób. Plemię Cherokee żyje i rządzi się własnymi prawami, w przydzielonym przez władze rezerwacie. Według amerykańskiego prawa Indianie są wolni, ale różnice rasowe sprawiają im niemało kłopotu. Książki i filmy, jakie się produkuje, często przemilczają prawdę o życiu i historii Indian, pokazując to wszystko od strony romantyki, przygody...

Wszystkie wiarogodne wiadomości zebrane z książek i otrzymane od wodza plemienia Cherokee służą chłopcom z XVI dzielnicy Budapesztu do wygłaszania pogadanek w szkołach, świetlicach i bibliotekach na temat prawdziwej historii Indian, ich zwyczajów, obecnych warunków życia itp.

Pamiętają bowiem o swym głównym zadaniu: chcą się nie tylko bawić, ale przede wszystkim poznawać dzieje Indian i popularyzować rzetelną wiedzę o prawowitych mieszkańcach Ameryki, skazanych obecnie na życie w wyodrębnionych rezerwatach.

Na zakończenie wizyty w węgierskim plemieniu „Węże Dakota" otrzymałem od „Białego Węża" zdjęcie wodza Cherokee, które prezentuję dziś wszystkim czytelnikom „Świata Młodych".

Howhg — skończyłem!

JERZY KASPRZAK
Zdjęcia autora

— Hau-Kola, Tahua! — Minotakij! — pozdrowił mnie „Biały Wąż" — Toth Kalman, wódz „Wężów Dakota".

NIEKIEPSKO SIĘ KOŃCZY NIEWĄSKO ZACZYNA DOROCZNY NAOCZNY FERYJNY TERMINARZ

Masz przed sobą 15 dni ferii zimowych. Zaczynasz je już w niedzielę 21 grudnia, a kończysz też w niedzielę 4 stycznia. Piętnaście dni to kawał czasu. Czasu wolnego od obowiązków, ale chyba nie wolnego od zajęć. Zanim zaczną się ferie, spróbuj zrobić sam sobie feryjny terminarz. Jeżeli zechcesz, możesz skorzystać z naszych propozycji. Ważne jest to, żeby solidnie odpocząć przed startem do następnego okresu. A odpoczynek w czasie ferii to właśnie robienie tego, na co ma się ochotę i tego, co innym może sprawić radość.

21	niedziela	Zamiast przystrajać się w pióra pawie, kupię choinkę i ją oprawię.
22	poniedziałek	Dla siebie, kumpla i koleżanki przygotowuję narty i sanki.
23	wtorek	Harcerz się byle głupstwem nie łamie... Pomogę dzisiaj w zakupach mamie.
24	środa	Strażakom też jest wigilia miła — dbaj, by choinka się nie spaliła.
25	czwartek Boże Narodzenie	W grudniu przeważnie śnieg pada dla nas... dziś na podwórku lepię bałwana.
26	piątek	W drugi dzień święta człek miewa ciszę... w ciszy na wszystkie listy odpiszę.
27	sobota	Taka sobota to traf jest rzadki. Uporządkuję swoje szufladki.
28	niedziela	Chory koleżka mieszka przez miedzę. Złożę wizytę swemu koledze.
29	poniedziałek	Tu myśl jest ważna, choć myśl to skryta: sprawdzę, co w książkach mam i w zeszytach.
30	wtorek	Jutro do tańca zagra orkiestra, więc przygotuję strój na Sylwestra.
31	środa	Zanim Rok Nowy do mnie zawita, pospłacam długi i będzie kwita.
1	czwartek Nowy Rok	Skoro Rok Nowy nareszcie przyszedł, wszystko, co ważne, w kalendarz wpiszę.
2	piątek	Nauki człowiek miewa niemało... dziś sprawdzę, co mi się zapomniało.
3	sobota	Wiatr mi zaśpiewa, śnieg mnie otuli... Wyruszam w kulig! Niech żyje kulig!
4	niedziela	Dziś mi się kończą ferie wspaniałe... co mam zadane na poniedziałek?...

POWSPOMINASZ TEN TERMINARZ!

Domyślasz się, że nasze propozycje nie muszą się pokrywać z planem Twoich ferii zimowych. Wykorzystaj z nich te, które Ci najbardziej odpowiadają, i zrób sobie własny terminarz ferii. Przekonasz się, że dużo lepiej odpoczywa człowiek, który zaplanuje swój odpoczynek. Nie przejmuj się jednak, jeżeli z Twojego planu coś „wypadnie". Spróbuj tylko określić, czy to, co „wypadło", należało do spraw NIEZBĘDNYCH, POŻYTECZNYCH, PRZYJEMNYCH, NIEPOTRZEBNYCH, i napisz o tym do nas. Dziękujemy i życzymy niezbędnych, potrzebnych, pożytecznych i przyjemnych ferii zimowych.

Na des.cz i pogodę,
na co dz.eń i .więto
stałych satelitów
życzymy dziewczętom.

ANATOLIJ ALEKSIN

BARDZO STRASZNA HISTORIA

Opowieść kryminalna, którą napisał Alik Dotkin

9.

W WILLI PANOWAŁA cisza. Tylko z góry dolatywały jakieś pomruki. Wszyscy zdrętwieli. Ja też zadrżałem... Ale nawet doświadczone oko nie mogłoby tego dostrzec, ponieważ wewnętrznie, w duchu.

— To bratanek gospodyni, Grigorij — poinformował nas Gleb, lecz dopiero po chwili. — Pilnuje wszystkich domów w osiedlu. Oczekuje nas... I wszystko nam opowie.

„Te same schody! — pomyślałem. — „Skrzypliwie stękające", jak w powieści. Po tych schodach w noc noworoczną szedł letnik wracając z ostatniej swojej przechadzki. Więcej już nie spacerował!..."

Zaczęliśmy wchodzić po skrzypliwie stękających schodach. Nie skrzypiały. „Aha, fikcja literacka" — rzekłem do siebie.

Z pokoju na górze zaczęły wyraźnie dobiegać słowa:

— Wy tak?... To my was — bach po karku! Jeszcze zipiecie? No to — trach po łebku!...

Nieboszczyk stanął. A za nim cała nasza grupka.

Z góry dolatywało.

— Aa, jeszcze wam mało! No to — łubudu! Jeszcze raz — łubudu!

— Co się tam dzieje? — jęknął Nieboszczyk.

— Może trzeba biec na ratunek! — wykrzyknąłem. Objąłem Nataszę pożegnalnym spojrzeniem i puściłem się pędem na górę.

Drzwi do narożnego pokoju były uchylone. Bratanek Grigoryj grał sam ze sobą w „durnia". Wychodził za siebie i za partnera, którego nie było.

— A, jeszcze dyszycie, no to ciach. Jeszcze raz!

Zaczął podrzucać króle.

— Chodźcie tu! Nie bójcie się! — krzyknąłem, jak gdybym wdrapał się na szczyt góry, a oni znajdowali się jeszcze na zboczu.

Mironowa ruszyła pierwsza — zawsze była posłuszna rozkazom.

Gleb także wbiegł na górę. Za nim Natasza. Dativus osłaniał sobą Nieboszczyka.

Bratanek Grigorij odwrócił ku nam głowę i zdusił papierosa o blat stołu, na którym leżały karty.

Było to olbrzymie stworzenie lat najwyżej dwudziestu pięciu.

Wspominałem już o tym, że w naszej szkole przezwiska stały się „powszechną plagą", prawie do nikogo nie zwracano się po imieniu. Tak dalece weszło mi to w krew, że poznając kogoś nowego, natychmiast dawałem mu w myśli przezwisko. Grigorija z miejsca nazwałem Bratankiem. To miłe familijne słowo zupełnie do niego nie pasowało, ale my często dawaliśmy przezwiska dla kpiny. Na przykład, do kogoś niskiego wołaliśmy: „Hej, Paganel!", a do drągala: „Schyl się, Lilipucie".

Bratanek podniósł się z krzesła.

Można by pomyśleć, że przy narodzinach dostała mu się przez pomyłkę jakaś cudza głowa, taka była malutka. I na twarzy też było tak mało miejsca, że mógł się na niej zmieścić jedynie złośliwy uśmieszek. Ten uśmieszek nie schodził z jego warg.

— No, co wam pokazać?

— Wszystkiego jesteśmy ciekawi! — powiedziała Mironowa.

— No więc w tym pokoju mieszkał tamten dziwak, co zaginął... Przyszedł tu ostatniego wieczoru przed Nowym Rokiem — i basta. Przepadł, jakby go nigdy matka nie urodziła. Kapujecie?

„Naprężone jak struna przewody prawie dotykały okna jego pokoju!" — przypomniał mi się fragment powieści. Przewody rzeczywiście „prawie dotykały". Tu nie było fikcji.

„Czas najwyższy, żeby w pełni uzasadnić swoje przezwisko!" — postanowiłem. I odezwałem się:

— Pamiętam, że w powieści jest takie zdanie: „O północy w willi zgasło światło. I całe osiedle pogrążyło się w ciemnościach..."

— Ty tam, chłopsiu, czego się wyrywasz?... — Bratanek machnął ręką, jakby na tym miejscu, gdzie stałem, zabzykał komar. Wymawiając słowo „chłopysiu", nie wiadomo czemu opuścił głoskę „y".

Bardzo lubiłem, jeśli w obecności Nataszy zerkały na mnie dziewczęta i jeśli to nie uchodziło jej uwagi. Byłem szczęśliwy, gdy słyszała, że ktoś zwraca się do mnie o pomoc, prosi, by mu wytłumaczyć zadanie albo twierdzenie... Ale jeśli przy niej traktowano mnie lekceważąco, cierpiałem męki.

— Rozumiecie więc — mówiłem dalej zwracając się do wszystkich na raz — że te słowa powieści nasuwają pewną myśl, mianowicie: skoro nie było światła, letnik mógł wyjść przez okno, uchwycić się przewodów (które w danym momencie były bezpieczne) i czepiając się ich jak cyrkowiec, dotrzeć do najbliższego słupa, po czym zsunąć się na ziemię. I na zawsze ukryć się przed krewnymi. Stąd też nie było koło willi żadnych śladów. Oczywiście, jest to tak zwana hipoteza... Przypuszczenie.

— Okno było zamknięte od wewnątrz — przypomniał Gleb.

— Wobec tego hipoteza odpada.

— Jak ty chłopsiu... — zaczął groźnie Bratanek.

— On tak chciał sobie strachu napędzić — tłumaczył Bratanek. — Bo tam ciemno, wilgoć...

— Rozumiem, wprowadzał się w nastrój — sadził się w dalszym ciągu Nieboszczyk.

Bratanek jakoś nie ofuknął go: „Ty tam, chłopsiu!", lecz opowiadał dalej.

— Znalazłem tam później różne kartki, papiery. Chciałem wyrzucić, ale ciotka mówiła, żeby zanieść do muzeum. No to zaniosłem. Jedna stacja dalej jest muzeum.

— Pewnie krajoznawcze — wyraził przypuszczenie Nieboszczyk.

Bratanek i tym razem nie syknął na niego, lecz powiedział spokojnie:

— Aha, właśnie. Dali mi podziękowanie na piśmie! Te kartki rozłożyli pod szkłem i napisali: „Znalezione i dostarczone przez Grigorija Szawkina". Teraz wszyscy to czytają. Wycieczkom też opowiadają o mnie... Kapujecie?

— No jasne, przecież to rękopisy, bruliony — wmieszał się znów Nieboszczyk.

— Aha, właśnie — potaknął Bratanek.

Dawno już spostrzegłem, że osobniki w rodzaju Bratanka zazwyczaj wybierają sobie jednego człowieka i zaczynają się do niego przyczepiać: „No, czego patrzysz? Czego wytrzeszczasz gały? Czego tu stoisz? Czego tu siedzisz?" Mimo że reszta też patrzy, też stoi i też siedzi. Ale takie typy wybierają tylko jednego i to z reguły najsympatyczniejszego, najinteligentniejszego człowieka. Bratanek wybrał mnie...

— Czego ty, chłopsiu, wlepiasz gały w podłogę? Nie chcesz słuchać?

— Pewnie się zamyślił — wtrącił szybko Nieboszczyk.

Wszyscy spojrzeli nań z wdzięcznością, jakby mnie wyratował z ciężkiej opresji. To było nie do zniesienia!

Z uporem skracał o jedną głoskę słowo „chłopysiu", wskutek czego brzmiało ono lekceważąco. Serce mi krwawiło, przecież tu była Natasza!

— Hipoteza odpada! — powtórzyłem głośno, drżąc cały na myśl, że Bratanek może mnie do reszty spostponować w jej oczach. A ja nie będę mógł zażądać satysfakcji — był przecież dwa razy większy ode mnie.

Znów machnął łapą, jakby się opędzał od komara. Mimo to żadne obraźliwe słowo nie padło z jego szyderczych warg.

C.d.n.

Tłum. I. PIOTROWSKA
Rys. B. RUTKOWSKA

Na świątek i piątek,
na mróz i upały
...ymy chłopakom
satelitek stałych.

TYTUS, ROMEK i A'TOMEK

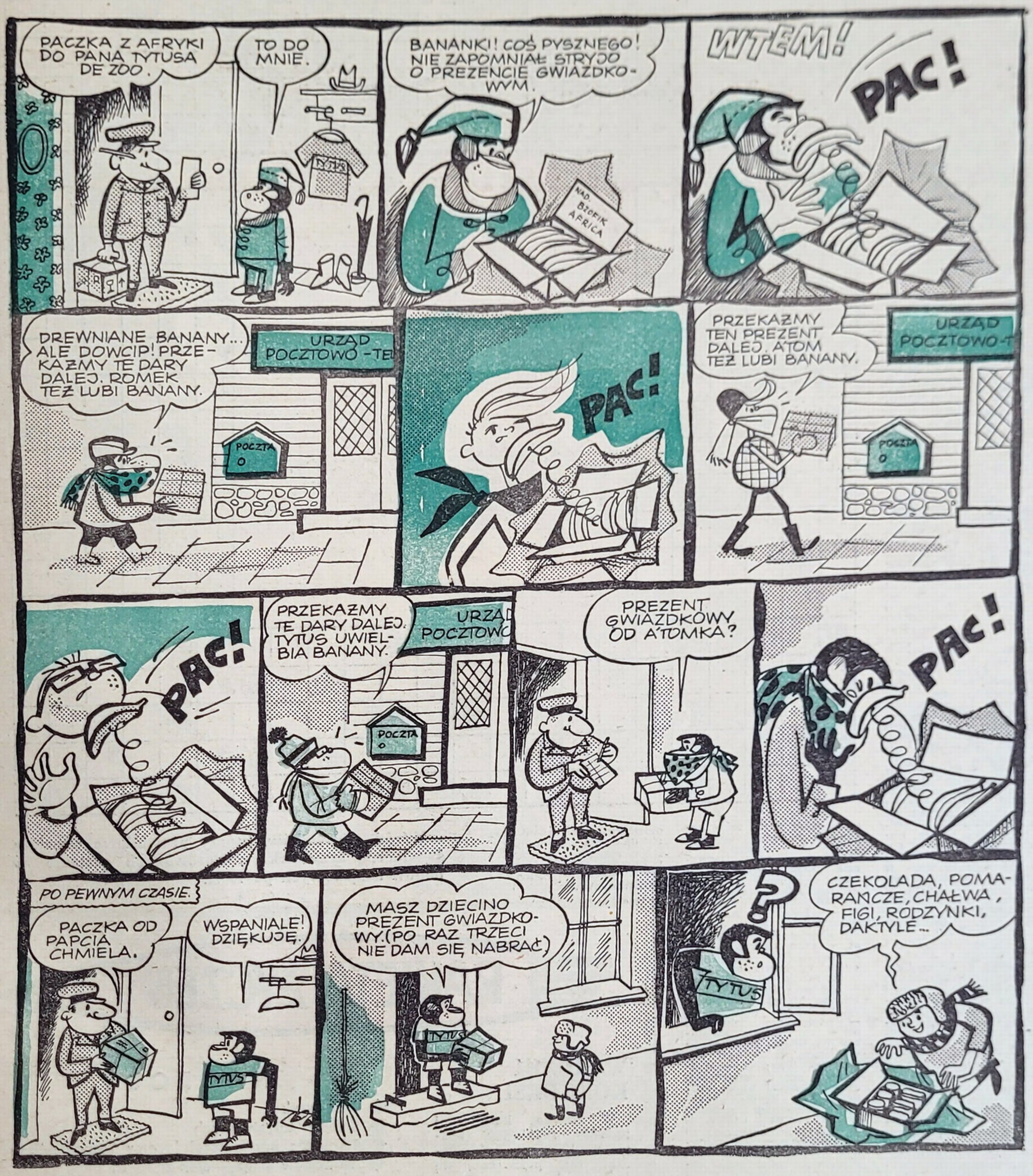

Rys. H. CHMIELEWSKI

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, ul. Wspólna 61, tel. 21-21-29. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna zł 12.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.

Zam. 5927 P-19

Życz... Wam szkolnych wycieczek w nieznane, na wszystkich planetach harcerskich biwaków. Szczęśliwej podróży do gwiazd i do planet z harcerską piosenką i z tlenem w plecaku!

STRONA Z NAGRODAMI

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1. — narzędzie pracy do rozbijania gruntów zwięzłych, murów, skał itp; 6 — jadowity wąż; 10 — damskie palto watowane noszone w XVIII i XIX wieku; 15 — może być mleczny, bufet; 16 — płynie w żyłach; 17 — szereg tonów muzycznych tworzących oktawę; 18 — ryba z wąsami; 19 — służy do czyszczenia zębów; 21 — rzeka w Czechosłowacji, dopływ Łaby; 22 — forma energii, gdy napalisz w piecu to w pokoju jest .....; 23 — odłam wyznaniowy w obrębie danej religii; 24 — rzeka w Syberii, jedna z największych rzek świata; 25 — uroczysty strój sędziów, adwokatów i profesorów; 26 — dopływ Renu; 27 — miara powierzchni gruntu; 29 — droga biegu, wyścigu; 32 — prostokątne wycięcie sukni koło szyi, kolor w kartach; 33 — rodzaj stołu w sklepie; 36 — nuta; 37 — dzikie zwierzę, żywi się padliną i ssakami; 40 — liczydło, deszczułka do wykonywania rachunków; 43 — roślina warzywna; 44 — hetman kozacki; 45 — przyrząd do wyznaczania kierunku; 46 — zaimek; 47 — imię psa; 49 — twarda, krucha, czarna masa stosowana do wyrobu lakierów, papy, brykietów; 51 — uroczyste wystąpienie wojska, defilada; 54 — dawna miara ciał płynnych i sypkich, 1/4 garnca; 55 — ochrania dętkę koła roweru, samochodu; 57 — myśl wypowiedziana lub napisana, składa się z podmiotu i orzeczenia; 60 — system rur odpływowych do osuszania gleby; 64 — inaczej: czołg; 65 — stan pogody; 66 — rzeka w Polsce, inaczej: Czarna Woda; 69 — może być pastewny, cukrowy, ćwikłowy; 73 — poeta i powieściopisarz (1876-1930), bardzo silny wiatr; 78 — rodzaj antylopy; 79 — środek lokomocji, marzenie każdego chłopca i dziewczynki; 80 — dojrzała samica ryby np. śledzia; 82 — płynie do morza; 83 — bogini mądrości, córka Zeusa; 84 — zaimek; 86 duża skrzynia; 87 — rzeka, przepływa przez Puszczę Solską; 88 — pomoc, odsiecz; 90 — imię psa; 91 — pokrywa, w przenośni: nieudanie się czegoś; 92 — zatoka w północnej części Morza Czerwonego; 93 — imię dziewczynki (zdrobniale).

PIONOWO: 1 — rzeka w Syberii; 2 — żołnierz wojsk inżynieryjnych; 3 — legendarny założyciel i władca Krakowa; 4 — oddział żołnierzy (dawna nazwa); 5 — silny, drapieżny ptak; 6 — powstaje z niego owoc; 7 — miasto i port w NRF; 8 — imię żeńskie; 9 — podłużny ślad na powierzchni czegoś, wąska chmura tworząca się za samolotem latającym na znacznej wysokości; 11 — pieśń solowa w operze; 12 — zakaźna choroba; 13 — strop drewniany, powała, największa wysokość osiągalna przez dany samolot; 14 — bożek miłości; 20 — przerwanie pracy przez pracowników jako środek walki politycznej i ekonomicznej; 23 — rzeka w Polsce; 28 — cienka tkanina, przezroczysta zasłona zakładana na damski kapelusz; 30 — wodorost morski, morszczyna, glon; 31 — rzeka, granica pokoju; 34 — dziecinne łóżeczko na biegunach; 35 — składnik powietrza i wielu ciał; 37 — ośrodek wczasowy i sportowy nad Pilicą, dawna letnia rezydencja prezydenta; 38 — koń szlachetnej rasy; 39 — roślina z rodziny amarylkowatych, pochodzi z Meksyku; 41 — narzędzie pracy rolnika; 42 — odpis, rodzaj lancy; 45 — sześćdziesiąt sztuk; 48 — mieszka w Szwecji; 49 — rzeka w Ameryce Południowej; 50 — dodaje się czasem do barszczu; 52 — broń sieczna i kolna używana przez piechotę i kawalerię; 53 — państwo w Europie; 56 — liryczna forma literacka, w której wyrażone są wzniosłe uczucia; 57 — wezwanie, wołanie; 58 — tak mówią niektórzy na Beatę; 59 — rzeka w Polsce; 61 — brat Lecha i Czecha; 62 — nadziemne pędy pietruszki; 63 — dawniej ubogi student; 67 — dryblas, opryszek, szeregowy piechoty w XV i XVI wieku; 68 — wskazuje godziny; 69 — prowizoryczny budynek parterowy; 70 — roślina uprawiana jako warzywo i na paszę; 71 — jest z żelaza, a może być w oknie, w drzwiach; 72 — rzeka w Polsce o charakterze cieśniny; 73 — rzeka w Czechosłowacji, dopływ Wagu; 74 — wyspa na Morzu Śródziemnym; 75 — jezioro w płd.-wsch. Afryce; 76 — ptak; 77 — ognisko pod gołym niebem; 81 — ptak, ładnie śpiewa; 85 — egipski bożek słońca, symbol pierwiastka radu; 86 — największa rzeka we Włoszech, inaczej: Pad; 89 — pomieszczenie dla pszczół.

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru. Na kopercie lub karcie pocztowej należy umieścić dopisek: **SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ.**

Wśród czytelników, którzy prawidłowo rozwiążą świąteczną krzyżówkę, rozlosowanych zostanie 50 bonów książkowych po 40 zł.

RAKIETA ŻYCZEŃ

WARUNKI KONKURSU

W czasie kosmicznej podróży redakcyjni kosmonauci, chcąc przyspieszyć lot, pozbywali się balastu i na kolejnych etapach lotu usuwali z życzeń zbędne — ich zdaniem — litery. Waszym zadaniem jest uzupełnić je w poszczególnych wierszach. Jest tych liter 44. Czytane kolejno, utworzą dodatkowy wiersz z życzeniami, który należy wpisać do załączonego kuponu i wysłać **NA KARTCE POCZTOWEJ** do dnia 5 stycznia 1970 roku pod adresem: „Świat Młodych", Warszawa, Mokotowska 24 — „Rakieta Życzeń".

NAGRODY

- 1 zegarek
- 5 toreb turystycznych
- 10 płyt z nagraniami Jaremy Stępowskiego
- 10 bonów książkowych à 20 zł.

KUPON KONKURSOWY

Nazwisko i imię . . . . . .

. . . . . .

Dokładny adres: . . . . . .

. . . . . .

Rozwiązanie . . . . . .

. . . . . .